



Anna DePalo



Noc w Las Vegas

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Jeśli ktokolwiek zna przyczyny, dla których tych dwoje nie może połączyć się węzłem małżeńskim, niech przemówi teraz lub zamilknie na wieki.

Belinda uśmiechnęła się zachęcająco do biskupa Newbury. Duchowny odwzajemnił uśmiech i już otwierał usta, by kontynuować, gdy nagle jego wzrok powędrował ponad ramieniem panny młodej. W katedrze rozległ się odgłos rytmicznych kroków. Belinda także je słyszała. Nie... to przecież niemożliwe.

- Ja się nie zgadzam.

Przymknęła oczy, czując podchodzące do gardła mdłości. Poznała ten głos - pełen nonszalancji i drwiny. Słyszała go milion razy w swoich snach, swoich najbardziej sekretnych fantazjach, które sprawiały, że rano budziła się z rumieńcami wstydu. A jeśli nie nawiedzał jej w snach, miała nieszczęście słuchać go, gdy udzielał telewizyjnych wywiadów, a nawet czasami widywać jego właściciela podczas towarzyskich spotkań.

Zgromadzeni w katedrze goście zaczęli szeptać między sobą. Tod, stojący tuż przy narzeczonej zamarł w oczekiwaniu, a biskup uniósł wysoko swoje siwe brwi, nie kryjąc zdumienia i dezaprobaty.

Belinda powoli odwróciła się. Jej oczy rozwarły się szeroko, gdy napotkała wzrok człowieka, który zapewne był teraz jej śmiertelnym wrogiem. Colin Granville, markiz Easterbridge, spadkobierca rodu, który od wieków toczył spór z jej rodziną. Ale przede wszystkim był to mężczyzna, który znał jej najbardziej upokarzający sekret. Gdy skrzyżowały się ich spojrzenia, poczuła dominującą tęsknotę i jednocześnie strach. Miała wrażenie, że dostrzega w jego wzroku zaborczość i wyzwanie.

Twarz Colina zdawała się nie wyrażać żadnych emocji. Kwadratowa szczęka zdradzała pewien rodzaj bezwzględności i okrucieństwa, ale cechy te łagodziły szlachetne, klasyczne rysy i piękny orli nos. Włosy miały głęboki, niemal atramentowy odcień, a czarne brwi tworzyły proste łuki nad niewiarygodnie ciemnymi oczami. Miał na sobie wizytowy garnitur i Belinda z ironią pomyślała, że przynajmniej ubrał się odpowiednio na uroczystość, którą najwyraźniej zamierzał popsuć.

- Co to ma znaczyć, Easterbridge? - zażądał wyjaśnień stryj Hugh, podnosząc się z pierwszej ławki.

Belinda spodziewała się, że ktoś poczuje się w obowiązku bronić honoru rodziny Wentworthów, a stryj Hugh, jako głowa klanu, wydawał się do tego zadania najbardziej odpowiednią osobą.

Powiodła wzrokiem po zgromadzonych w kościele gościach. Prawie wszyscy wywodzili się z wyższych sfer Londynu i Nowego Jorku. Na ich twarzach malowało się niezdrowe podniecenie i zaniepokojenie zaistniałą sytuacją. Tylko członkowie jej rodziny wyglądali na przerażonych. W powietrzu pachniało skandalem. Nawet jej najlepsza przyjaciółka, Tamara Kincaid, słynąca z zimnej krwi, wydawała się zbita z tropu, a druga przyjaciółka i jednocześnie organizatorka ślubu, Pia Lumley, zrobiła się biała jak kreda.

- Easterbridge! - zawołał Tod, nie kryjąc irytacji. - Nie jesteś zaproszony!

- Zaproszony czy nie - podjął Colin z kpiącym uśmiechem - musiałem przyjść. Moja rola w życiu Belindy usprawiedliwia to nieoczekiwane wtargnięcie na tę uroczystość.

Belinda miała wrażenie, że wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę. Biskup Newbury chrząknął, nieco skonsternowany całą sytuacją i przemówił wolno:

- Wygląda na to, że będę musiał zastosować się do procedury, z której jeszcze nigdy dotąd nie korzystałem. Proszę powiedzieć, jakież to zastrzeżenia pan zgłasza?

Colin Granville, markiz Eastarbridge popatrzył pannie młodej głęboko w oczy.

- Belinda nie może wziąć ślubu, ponieważ jest już mężatką. To moja żona.

Słowa te odbiły się głośnie echem wśród wysokich murów świątyni. Z gardeł zebranych gości wydobył się stłumiony okrzyk, biskup dostał ataku kaszlu, a Tod nie był w stanie wymówić nawet słowa. Belinda mogłaby przysiąc, że we wzroku Colina dostrzegła szyderstwo i triumf.

- Musiała zajść jakaś pomyłka - oświadczyła Belinda zimno, chcąc za wszelką cenę ratować sytuację i nie dopuścić do skandalu.

- Pomyłką nazywasz nasz ślub wzięty w kaplicy w Las Vegas przed dwoma laty? Przykro mi, ale się z tobą nie zgodzę.

Belinda poczuła gwałtowny ucisk w żołądku, a jej twarz oblała fala trudnego do zniesienia gorąca. Cóż mogła na to odpowiedzieć? Że miała cichą nadzieję, iż jej sekretne małżeństwo z markizem Easterbridge zostało anulowane? Że nikt się o tym nie dowie?

Jedyne, co mogła zrobić, to zakończyć to żenujące przedstawienie i przeprowadzić rozmowę w miejscu, w którym będzie w stanie zmierzyć się ze swoimi demonami, a raczej z jednym demonem, który miał na imię Colin.

- Czy moglibyśmy przedyskutować tę sprawę na osobności?

Nie czekając na odpowiedź, ujęła w dłonie fałdy długiej ślubnej sukni i z godnością, na jaką jeszcze ją było stać, zaczęła iść główną nawą do wyjścia. W jej sferze fason należało trzymać do końca. Uważała jednocześnie, by nie nawiązać kontaktu wzrokowego z żadnym z gości. Skreśliła w korytarz prowadzący do zakrystii, rześście oświetlony promieniami słońca.

Wspaniały czerwcowy dzień, pomyślała gorzko, nieliczący w żaden sposób z zaistniałą sytuacją. Jej idealnie zorganizowany ślub został zniszczony przez człowieka, którego, według rodziny i długoletniej tradycji, powinna nienawidzić najbardziej na świecie. Jeśli ciągle jeszcze nie była na tyle mądra, by zdawać sobie sprawę, że ma do czynienia z nieodrodnym synem swoich przodków, teraz już nie powinna mieć najmniejszych wątpliwości.

Gdy obejrzała się przez ramię, dostrzegła, że jej niedoszły mąż, jak i ten, o którym myślała, że jest byłym, idą za nią. Colin przezornie zamknął drzwi do zakrystii na wypadek, gdyby spragnieni sensacji goście postanowili podążyć ich śladem.

Belinda, która w kościele starała się trzymać emocje na wodzy i emanować wewnętrznym spokojem, jak gdyby doszło jedynie do drobnego nieporozumienia, teraz przystąpiła do ataku.

- Jak mogłeś!?! - wyrzuciła z siebie ze złością, zwracając się do Colina.

Jego bliskość powodowała, że serce biło jej jak oszalałe, a ciało wibrowało od emocji, zbyt silnych i zbyt niespodziewanych. Aż do tego dnia Colin, a właściwie znajomość z nim była jej największym sekretem i największym grzechem. Próbowwała go

unikać, ignorować jego istnienie, zapomnieć, ile dla niej znaczył, a teraz wszystko przepadło.

- Obyś miał ważne powody, dla których przerwałeś ceremonię, Easterbridge! - warknął Tod, zadzierając wysoko głowę. - Myślisz, że uwierzę w te absurdalne kłamstwo?

- Mam bardzo ważny powód - odparł niewzruszony. - Akt zawarcia ślubu.

- Nie wiem, co chcesz przez to osiągnąć i na jakiej planecie żyjesz, Easterbridge, ale to nie jest śmieszne! - napał Tod.

- Nasze małżeństwo zostało anulowane - wtrąciła szybko Belinda. - Właściwie to nigdy nie istniało.

Tod popatrzył na nią z wyrzutem.

- A więc to prawda? Ty i Easterbridge jesteście małżeństwem?

- Byliśmy. Czas przeszły - tłumaczyła. - Załedwie kilka godzin, wiele lat temu. To nie miało dla mnie żadnego znaczenia.

- Kilka godzin? - podjął Colin z rozbawieniem. - Dwa lata to ile to godzin? Chwilczkę, niech obliczę... Według moich obliczeń to chyba siedemnaście tysięcy czterysta siedemdziesiąt dwie godziny.

Belinda rzuciła mu wściekłe spojrzenie. Jak śmiał pojawić się po dwóch latach i straszyć ją takimi rewelacjami?! Przecież to niemożliwe, żeby nadal byli małżeństwem. Podpisała dokumenty.

- Anulowaliśmy to małżeństwo - przypomniała mu.

- Anulowanie ślubu nie zostało przeprowadzone do końca - odparł łagodnym tonem. - A to oznacza, że wciąż jesteśmy małżeństwem.

- Jak to „nie zostało przeprowadzone do końca”? Dobrze pamiętam, że podpisałam dokumenty. Jestem tego pewna. - Nagle targnęły nią podejrzenia. - Chyba, że ty maczałeś w tym swoje palce.

- Proszę cię, nie dramatyzuj. - Colin nawet przez chwilę nie tracił panowania nad sobą. - Anulowanie małżeństwa nie jest takie proste i podpisanie dokumentów to za mało, by już było po wszystkim. Sędzia nie rozpatrzył sprawy, ponieważ uznał, że papiery zostały źle wypełnione.

- I czekałeś aż do dzisiaj, by mi o tym powiedzieć?

Colin wzruszył ramionami.

- Aż do dzisiaj nie było to dla mnie problemem.

Nie mogła uwierzyć, że mówi to tak spokojnie.

Czy to był jego sposób, by się na niej odegrać za to, że zostawiła go na lodzie? Że uciekła od niego po ich wspólnej, szalonej nocy w Las Vegas?

- Nie wierzę w ani jedno twoje słowo - wtrącił Tod, nerwowo gestykulując rękami.

Belinda poczuła gorzkie wyrzuty sumienia, gdy patrzyła na twarz niedoszłego męża. Żałowała, że nie wynajęła prawnika, który by przeprowadził rozwód. Sądziła, że to tylko formalność, a tymczasem pośpiech sprowadził na nią poważne kłopoty. Chciała po prostu jak najszybciej zapomnieć o tym, pożał się Boże, epizodzie w Las Vegas.

Colin, nie zwracając uwagi na Toda, omiótł wzrokiem sylwetkę Belindy.

- Ładnie się prezentujesz w tej sukience. Jest zupełnie inna od tej czerwonej, którą miałaś na naszej uroczystości.

- Czerwona suknia jest właściwa, gdy się poślubia diabła, czyż nie? - syknęła, odrzucając głowę do tyłu.

- Wtedy nie dawałaś mi odczuć, bym w twoich oczach uchodził za diabła - odpowiedział, zniżając głos do zmysłowego szeptu. - Właściwie, o ile dobrze pamiętam, to...

- Nie byłam sobą - przerwała mu ostro, ze strachem, że powie coś, czego nie powinien.

- I to wystarczający powód, by popełniać bigamię? - ironizował.

- Wcale nie jestem bigamistką.

- Tylko dlatego, że w porę interweniowałem.

Nie mogła dłużej znieść jego spokoju, pewności siebie i tego irytującego uśmiešku w kącikach warg.

- W porę? Dlaczego musiałeś pojawić się akurat dziś, skoro jesteśmy małżeństwem od dwóch lat, według twoich obliczeń!?

Belinda bała się, że jeszcze chwila, a wybuchnie. Colin doprowadzał ją do szewskiej pasji. Gdy stał obok jej niedoszłego męża, mogła zauważyć, że choć był tego same-

go wzrostu co Tod, miał potężniejszą posturę, przez co wydawał się wyższy i bardziej męski.

- Od jak dawna wiesz, że małżeństwo nie zostało anulowane?

- Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Ważne, że przyjechałem na czas - stwierdził obojętnym tonem.

Parsknęła krótkim, gorzkim śmiechem. Podstępny szczur, chodziło mu tylko o to, by zepsuć uroczystość, by ją upokorzyć na oczach całej rodziny i wszystkich zaproszonych gości. Wiedziała, że taki skandal nie przejdzie bez echa i prawdopodobnie już jutro stanie się bohaterką na łamach wszystkich brukowców. Ich czytelnicy uwielbiali takie historie z życia brytyjskiej arystokracji.

- Skontaktuje się z tobą mój prawnik - powiedziała rzeczowo.

- Będę na to czekał.

- Rozwiążemy tę małżeńską umowę - dodała, jakby chciała przekonać samą siebie.

- Być może, ale z całą pewnością nie nastąpi to dzisiaj. Nawet w stanie Nevada nie da się tego przeprowadzić aż tak szybko.

Miał rację. Nic nie mogło uratować jej ślubnej ceremonii. Wpatrywała się w sprawcę jej nieszczęścia z furią w oczach.

- Musiałam być niespełna rozumu, kiedy zdecydowałam się za ciebie wyjść - syknęła.

- Przyznaję, że obydwójce nie myśleliśmy wtedy trzeźwo.

- To wszystko przez ciebie! To twoja wina. Oszukałeś mnie. Myślałam, że jesteś inny, a tymczasem jesteś nieodrodnym synem swoich przodków, słynących z matactw i kłamstw. To ty źle wypełniłeś dokumenty, a teraz zjawiasz się tu i rujnujesz mój ślub!

- Daj spokój, nie wciągaj w nasze sprawy moich przodków. Oni nie mają z tym nic wspólnego - odparł nonszalancko, jakby nie rozumiał jej zdenerwowania.

- A właśnie, że mają - upierała się. - To oni... To przez nich... Widziałeś miny zaproszonych gości? Wszyscy byli niezdrowo podekscytowani faktem, że kobieta z rodu Wentworthów poślubiła Granville'a! Co my teraz zrobimy?

- Może nic nie zrobimy, tylko bądźmy dalej małżeństwem - szydził.

- Nigdy!

Belinda rzuciła się do wyjścia w tym samym momencie, w którym biskup i stryj Hugh wparowali do środka. Minęła ich bez słowa i tylko zdążyła usłyszeć, jak stryj, sapiąc ze złości, zwraca się do Colina w ostrych słowach.

- Obyś miał coś na swoje usprawiedliwienie, Easterbridge, choć wątpię, by to było możliwe!

Belinda miała wrażenie, jakby w tym świętym miejscu otworzyło się dla niej piekło.

Zemsta. Okropne słowo. A jednak w rodzie Wentworthów, jak i w rodzie Granville'ów od pokoleń nie była niczym nowym, rozważał Colin. Być może określenie waśń rodowa lub wendeta byłyby tu bardziej na miejscu. W związek z Belindą wpleciona była kilkusetletnia tradycja nienawiści między rodziną Wentworthów a Granville'ów. To właśnie ta nienawiść sprawiła, że namiętność, która opętała ich w Las Vegas miała rozkoszny posmak zakazanego owocu. I to z powodu tej nienawiści następnego dnia po ich wspólnej nocy Belinda uciekła.

Colin skupił wzrok na pięknej panoramie miasta, rozciągającej się z olbrzymich okien przestronnego apartamentu, znajdującego się na trzydziestym piętrze. W napięciu czekał na przybycie gościa, którego wizyta niekoniecznie była mu na rękę. Wsunął ręce do kieszeni i przez dłuższą chwilę obserwował wierzchołki drzew Central Parku. Ponieważ była niedziela, pozwolił sobie na swobodny strój, choć każdego dnia zakładał markowy garnitur.

Piękny, słoneczny dzień, pomyślał. Poprzedniego dnia, kiedy Belinda o mało nie wyszła za mąż, było równie pięknie. Usta wykrzywił mu dziwny uśmiech, zdradzający nie tyle zadowolenie, ile żal, a może gorzką satysfakcję? Belinda wyglądała bosko w sukni ślubnej, jednakże wyraz jej twarzy, gdy zobaczyła go w kościele, miał niewiele wspólnego z niebiańskimi twarzyczkami świętych aniołów. Wyglądała tak, jakby najchętniej zapadła się ze wstydu pod ziemię, oczywiście przedtem rozszarpując go na strzępy.

Nie zmieniła się w ciągu tych dwóch lat. Miała w sobie ten sam ogień, który tak mocno kiedyś na niego podziałał. Ta sama piękna, delikatna twarz przypominająca mu

wizerunki porcelanowych lalek, orzechowe oczy, nieprzyzwoicie pełne wargi i bujne, ciemne włosy. Suknia ślubna w kolorze kości słoniowej doskonale podkreślała nienagane kształty jej smukłej sylwetki i gdyby nie detale w postaci cienkiej koronki przy ramiączkach i dekolcie całość wydawałaby się dość wyzywająca.

Kiedy odwróciła się od ołtarza i spojrzała na niego, odczuł lekki zawrót głowy, a jego zmysły wyostrzyły się do tego stopnia, że niemal słyszał szelest jej welonu, miękko spływającego do kostek.

Belinda wyglądała oszalamiająco, zupełnie jak w dniu ich ślubu w Las Vegas. Była wówczas taka radosna, spontaniczna, pełna wewnętrznego światła i pulsującej namiętności, a przede wszystkim należała do niego. Szkoda, że tylko na jedną noc.

Doniesiono mu, że po wczorajszej konfrontacji w kościele przyjęcie weselne zostało natychmiast odwołane. Nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że Belinda prosto z zakrystii pobiegła do swego prawnika. Na złośliwą sugestię Colina, że przecież mogliby nadal trwać w tym małżeństwie, zareagowała niezwykle stanowczo i jednoznacznie negatywnie.

Wpatrywał się w widok za oknem, a jego myśli błądziły gdzieś daleko. Wrogość pomiędzy rodami Wentworthów i Granville'ów miała głębokie korzenie. Te dwie rodziny łączyło sąsiedztwo, a także zaciekle rywalizacja o intratne tereny w Anglii. Od niegroźnych sporów dotyczących granic, poprzez polityczne animozje, aż do oskarżeń o uwodzenie cudzych kobiet rosła wzajemna niechęć, która wpisała się już do tradycji kraju i której nic nie mogło powstrzymać.

On sam, jako dziedzic rodu Granville'ów, dopisał kolejny porywający rozdział do rozwijającej się od wieków historii. Zrobił to za sprawą romansu w Las Vegas z kobietą będącą spadkobierczynią wrogiej rodziny. Pamiętał, jak go zaintrygowała, gdy ją poznał i jaką wielką ciekawość w nim wzbudziła. Im bardziej mu się opierała, tym bardziej dążył do tego, by zawrzeć z nią bliższą znajomość, najpierw na przyjęciu u przyjaciół w Vegas, a potem w kasynie. Nim minęła noc, wiedział już, że pragnie jej tak bardzo, jak jeszcze nigdy nie pragnął żadnej kobiety. Oczywiście nie mógł też oprzeć się wyzwaniu, jakim dla niego była. Być może liczne tego wieczora wygrane utwierdziły go w przekonaniu, że wygra wszystko, bez względu na przeciwności. Był gotów założyć się o duże

pieniądze, że uda mu się zaciągnąć Belinę do łóżka. I nie zawiódł się. Dopiero rano okazało się, że przecenił swoje możliwości. Nie mógł znieść tego, że Belinda go odrzuciła.

W tym momencie jego rozmyślania przerwał dzwonek do drzwi. W samą porę.

- Colin! - Matka zaanonsowała swoje przybycie donośnym głosem i mocnym stukaniem obcasów. - Cóż to za okropne plotki krążą po mieście? To jakieś bzdury. Powiedz natychmiast, że to nieprawda.

- Skoro to są, jak sama twierdzisz, bzdury, to dlaczego żądasz, bym się tłumaczył?

Matka nie przestawała go zadziwiać swoją skłonnością do melodramatycznych przedstawień.

- To nie pora na głupie żarty - oburzyła się pani Granville, rzucając torebkę, marki Chanel na najbliższe krzesło, zupełnie jakby zrzucała zbroję po bitwie. Po chwili pojawiła się pokojówka, odebrała od niej płaszcz i dyskretnie zniknęła za drzwiami. - Nasze nazwisko zostało zszargane. Żądam wyjaśnień.

- Oczywiście. A jakie to plotki krążą po mieście? - spytał znużony.

- Jak byś nie wiedział! - zachnęła się, oburzona nonszalancją syna. - Usłyszałam coś strasznego, że podobno przerwałeś ślub tej smarkuli Wentworthów, a co więcej, ogłosiłeś, że jesteście małżeństwem. W głowie się nie mieści! Oczywiście, powiedziałam do słuchu temu, kto powtarza te bzdury.

- A kto je powtarza?

Matka zrobiła nieokreślony ruch ręką, jakby przepędzała namolną muchę.

- Czytelniczka Jane Hollings, która prowadzi kolumnę plotkarską w jakiejś gazecie.

- W „The New York Intelligencer”.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Zgadza się. Ale przecież nie o tym mówimy. Powiedz mi prawdę, czy ty...

- Tak - odparł krótko.

Nie było sensu kluczyć. Prędzej czy później i tak by się wydało.

Pani Granville, jak przystało na przedstawicielkę arystokratycznego rodu, zachowała kamienny spokój, choć pewnie najchętniej zaczęłaby tupać nogami ze złości.

- Belinda Wentworth została markizą Easterbridge? Świat stanął na głowie! - zawołała, przewracając oczami.

- Nie przejmuj się. Nie sądzę, by Belinda miała zamiar używać tego tytułu - mruknął, odwracając wzrok.

- Coś ty najlepszego zrobił! Mało było pięknych kobiet dookoła? Co ci strzeliło do głowy, by się zenić właśnie z nią?

Colin wzruszył ramionami.

- Jestem pewien, że gdybyś się zastanowiła, sama potrafiłabyś odpowiedzieć na to pytanie.

Niezręcznie mu było prowadzić tego typu rozmowę ze swoją matką. Jak do diabła miał się jej zwierzyć ze swoich uczuć, z pożądania, które go wtedy opętało.

- A dlaczego ty i tata pobraliście się?

Pani Granville zagryzła wargi i zmarszczyła czoło. Zaczęła nerwowo zaciskać dłonie, nie patrząc na syna. Colin wiedział, że to pytanie mogło wprawić ją w zakłopotanie, tym bardziej że znał na nie odpowiedź. Jego rodziców łączyła przynależność do tej samej sfery, majątek i pozycja. Z pewnością nie był to związek oparty na namiętnej miłości, ale aż do śmierci ojca, przed pięcioma laty, nie było to złe małżeństwo.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz dłużej ciągnąć tej farsy. Trzeba jak najszybciej rozwiązać ten problem - oświadczyła, zmieniając temat.

- Jestem pewien, że właśnie teraz Belinda rozmawia w tej sprawie ze swoim prawnikiem.

Colin zastanawiał się, co by matka powiedziała, gdyby wiedziała, że on wcale nie chciał rozwodu.

W każdym razie jeszcze nie teraz, póki cel nie zostanie osiągnięty.

ROZDZIAŁ DRUGI

Belinda rzuciła sweter do leżącej na łóżku walizki z większą siłą, niż to było konieczne. Nadal była wzburzona ostatnimi wydarzeniami.

Zawsze postępowała rozsądnie i nigdy nie zdarzył jej się choćby jeden fałszywy krok... aż do momentu, gdy spędziła noc z Colinem Granville w Las Vegas.

Studiowała historię sztuki w Oksfordzie, a potem pracowała w kilku domach aukcyjnych, aż do czasu, kiedy została specjalistką od sztuki impresjonistycznej i nowoczesnej w prestiżowym domu aukcyjnym Lansinga. Punktualna, ambitna, ubrana według najświeższej mody uchodziła za osobę odpowiedzialną i trzeźwo myślącą, także w swoich własnych oczach. Rodzina pęczniała z dumy. Belinda była typową posłuszną panią z dobrego domu, która robiła to, czego od niej oczekiwano, a jeśli zdarzyło się, że nie postępowała według wskazówek rodziny, to przynajmniej otwarcie nie wyrażała sprzeciwu.

Nigdy nie była przedmiotem plotek aż do teraz. Afera ze ślubem została dokładnie opisana przez Hollings w „The New York Intelligencer”:

To miało być towarzyskie wydarzenie roku. Życie jednak lubi płatać figle. Całe miasto żyje historią ślubu, który miał połączyć ród Wentworthów i Dillinghamów, a który został przerwany przez markiza Easterbridge. Młody dziedzic oświadczył w dodatku, że dwa lata temu poślubił uroczą pannę Wentworth i że małżeństwo nie zostało rozwiązane.

Belinda nawet nie chciała myśleć o reakcji swoich najbliższych. Przewornie nie odbierała telefonów od matki i stryja Hugh. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała z nimi porozmawiać, ale nie była na to jeszcze gotowa.

Poprzedniego dnia usłyszała słowa wsparcia od dwóch najbliższych przyjaciółek - Tamary i Pii. Okazało się, że każda z nich miała swoje mniejsze lub większe problemy, których wspólnym mianownikiem był niedoszły ślub. Tamara zwierzyła się, że podczas ceremonii unikała jak ognia jednego ze świadków, Sawyera Langsforda, hrabiego Melton, a to dlatego, że ich rodziny umyśliły sobie, by ich koniecznie wyswatać. Pia zaś odkryła, że jeden z gości to jej dawny kochanek, James „Hawk” Carsdale, księżę na Hawkshire, którego znała jako Jamesa Fieldinga. Trzy lata temu porzucił ją bez słowa

wyjaśnienia po wspólnej nocy. Wszystko wskazywało na to, że ślub był kompletną katastrofą zarówno dla niej, jak i jej przyjaciółek.

Całe szczęście, że wynoszę się stąd, pomyślała. Służbowa podróż do Anglii dobrze mi zrobi. Wiedziała, że ucieczka nie rozwiąże jej problemów, ale musiała wyrwać się z miasta, które karmiło się skandalem i potrzebowała nabrać dystansu do całego wydarzenia, a także przemyśleć w spokoju kilka istotnych spraw.

Ślub z Todem miał być ukoronowaniem jej wizerunku doskonałej, posłusznej panny młodej z wyższych sfer, a stał się symbolem wielkiej porażki.

Pocieszała się, że unieważnienie powinno nastąpić stosunkowo szybko. Ludzie uzyskują je każdego dnia, czyż nie?

Przerwała pakowanie i objęła dłońmi głowę, czując narastający w skroniach ból. Przypomniała sobie, że na długo przed tą fatalną nocą w Vegas wpadała na Colina przy okazji różnych towarzyskich spotkań i od początku budził jej zainteresowanie. Była jednak świadoma animozji między ich rodzinami i nie pozwoliła sobie nawet na zwykłą rozmowę. Poza tym budził w niej lęk. Był zbyt przystojny, zbyt męski, zbyt pociągający. Ona, która szczyła się swoją umiejętnością panowania nad emocjami, bała się, że wyzwoli on w niej coś, nad czym nie będzie miała żadnej kontroli.

Jakiś czas potem została wysłana służbowo do Las Vegas, by wycenić prywatną kolekcję jednego z milionerów. Kiedy przypadkowo wpadła na Colina na przyjęciu u owego kolekcjonera, nie planowała sprawdzać, jak bezsilna staje się wobec magnetycznej siły przyciągania tego mężczyzny. Zaczęło się od niezobowiązującej rozmowy, która uświadomiła im, jak wiele mieli ze sobą wspólnego. Obydwoje niegdyś brali udział w zawodach pływackich, lubili sztukę i operę, a nawet wspierali charytatywnie te same instytucje.

Już pod koniec pobytu w Las Vegas znów wpadła na niego w hotelowym korytarzu. W pierwszej chwili nie wiedziała, jak się zachować, na szczęście Colin przejął inicjatywę. Pierwsze lody zostały przełamane, więc nie było powodu, dla którego nie mieliby się razem napić drinka, zwłaszcza że obydwójce zatrzymali się w tym samym hotelu - Bellagio. Bawili się razem doskonale, spędzając beztrąsko czas. Najpierw wspólny obiad, drinki, aż wreszcie gra w kasynie. Kiedy więc wieczór dobiegał końca, wydało jej

się czymś naturalnym, by spędzić z nim także noc, a jednak chciała się trochę podroczyć i zapowiedziała, że nie mogą pójść do łóżka, chyba że się z nią ożeni. Nie spodziewała się, że Colin potraktuje to poważnie. On tymczasem wprawił ją w osłupienie, zabierając do kaplicy, w której udzielano ślubów. Czuła się podekscytowana i przerażona zarazem. Potem oczywiście obwiniała się o lekkomyślność spowodowaną jednym drinkiem za dużo, a także beztroską atmosferą Las Vegas. Prawda jednak była taka, że jeszcze nigdy nie była tak bardzo zauroczona żadnym mężczyzną. Oszalał ją, zadziwiał, zdumiewał. Pragnęła, by wziął ją w ramiona i nie wypuszczał. Paradoksalnie, przez tych kilka godzin spędzonych w towarzystwie Colina wreszcie poznała, czym jest wolność, za którą tęskniła. Zawsze czuła się niewolnicą konwenansów i rodzinnych oczekiwań.

Była pod coraz większą presją ze strony rodziny, która chciała szybko ją wydać za kogoś zamożnego, wpływowego i z odpowiednim nazwiskiem, tym bardziej że niemal wszystkie jej koleżanki z Marlborough College były albo zaręczone, albo już po ślubie. Dlatego też w przyływie beztroskiego nastroju zignorowała fakt, że Colin jest ostatnim mężczyzną, do którego powinna była się zbliżyć.

Następnego ranka po wspólnej nocy obudził ją telefon od matki. To było jak kubek zimnej wody wylany na głowę. Belinda była przerażona, gdy uświadomiła sobie, co zrobiła. Zaczęła nalegać na szybkie unieważnienie ślubu, bez rozgłosu i świadków. W pierwszej chwili Colin nie brał poważnie jej słów, ale gdy zorientował się, że Belinda nie żartuje, a jej zdenerwowanie jest autentyczne, stał się powściągliwy i milczący, maskując w ten sposób złość.

Belinda potrząsnęła głową, chcąc uwolnić się od dręczących ją wspomnień. W następnej chwili usłyszała dzwonek telefonu i krzywiąc się z bólu, gdyż pulsowanie w skroniach nie ustawało, podniosła komórkę, aby zobaczyć, kto dzwoni. Na szczęście nie była to ani matka, ani stryj Hugh, tylko Pia. Założyła słuchawkę na ucho, dzięki czemu mogła jednocześnie pakować się i rozmawiać.

Znała się z Pią, a także ich wspólną przyjaciółką Tamarą od czasów, gdy działały charytatywnie w Lidze Juniora. A potem, zaraz po studiach zamieszkały w Nowym Jorku na Manhattanie, realizując swoje pasje. Tamara zaczęła projektować biżuterię, a Pia spełniła swoje wielkie marzenie i została organizatorką ślubów.

Mimo że Tamara była córką brytyjskiego wicehrabiego, Belinda nie miała okazji spotkać się z nią wcześniej, na przykład podczas różnych przyjęć organizowanych przez angielską arystokrację, gdyż przyjaciółka dorastała w Stanach Zjednoczonych, ponieważ jej matka, Amerykanka spoza sfery, rozwiodła się ze swym utytułowanym mężem.

- Nie martw się. - Belinda domyślała się, dlaczego przyjaciółka dzwoni. - Żyję i mam się dobrze. Zamierzam uwolnić się do tego markiza, nawet jeśli miałyby to być ostatnia mądra rzecz, jaką zrobię w życiu.

- Och, Belinda, gdybym tylko mogła jakoś ci pomóc - zawołała Pia współczująco.

- To ja i Colin nawarzyliśmy sobie tego piwa, więc teraz musimy je wypić.

Żałowała, że ślub okazał się katastrofą, przede wszystkim ze względu na Pię. Prosząc ją, by przygotowała uroczystość, chciała pomóc jej w karierze, a tymczasem tylko zaszkodziła. Przeklęty Colin, wszystko przez niego.

- Domyślam się, że dzwoniś nie tylko po to, by zapytać, jak się czuję?

- No cóż... - zaczęła Pia. - Wolałabym nie zawracać ci głowy takimi sprawami, ale powinniśmy uzgodnić, jakie wydać oświadczenie do prasy i jeszcze kwestia prezentów ślubnych...

- Odeślij je wszystkie - nakazała bez wahania.

Była optymistką, ale także realistką. Mimo że miała nadzieję na szybki rozwód, nie mogła przewidzieć, jak długo to potrwa.

- W porządku. Jesteś pewna? Bo gdyby nie...

- Jestem pewna - przerwała Belinda. - A co do ogłoszenia, nie wiem, czy w ogóle jest sens cokolwiek tłumaczyć. Dzięki pani Hollings jestem pewna, że wszyscy już są doskonale poinformowani o tym, co się wydarzyło na ślubie.

- A co z tobą i Todem? - spytała Pia. - Myślisz, że uda wam się załagodzić tę sytuację?

Belinda powróciła myślami do sobotniego wydarzenia. Kiedy wyszła z kościoła, Tod ją dogonił i przeprowadzili krótką, ale burzliwą rozmowę. Chociaż starał się panować nad sobą, nie potrafił ukryć wściekłości i rozczarowania. Zwróciła mu zaręczynowy pierścionek. Uznała, że to najwłaściwsze. W końcu prawnie była żoną innego mężczyzny.

- Tod jest skonsternowany i zły. Szczerze mówiąc, wcale mu się nie dziwię.
- Czyli sprawy między tobą a nim... - zaczęła ostrożnie Pia.
- Poczekaj, aż uporam się z tym problemem i wtedy wspólnie zdecydujemy co dalej.

Pia milczała przez chwilę, nim zadała kolejne pytanie.

- Czyli nie chcesz wydać żadnego oświadczenia?
- A chcesz być moją rzeczniczką? - zażartowała.
- Nie byłby to pierwszy raz. Kontakty z mediami są częścią pracy organizatorów ślubów.
- A cóż ja bym miała do przekazania, poza tym że rzeczywiście jestem żoną markiza Easterbridge?

- Rozumiem twój punkt widzenia - przyznała Pia. - Pomyślałam tylko, że może chciałabyś sprostować to, co wypisuje ta Hollings.

- Nie, dziękuję.

Ostatnią rzeczą, jakiej chciała po skandalu ze ślubem, to grać główną rolę w medialnym szumie. Zamierzała swoje sprawy załatwić dyskretnie, w końcu tego wymagała przynależność do arystokracji. Szkoda, że Colin miał za nic te zasady i wolał wywołać publiczną burzę.

- Co za diabeł w ciebie wstąpił, dziewczyno! - zagrział stryj Hugh, obchodząc biurko dookoła, gdy Belinda pojawiła się w bibliotece, w jego miejskiej rezydencji Mayfair w Londynie.

Twarz stryja jasno oddawała emocje, które się w nim kłębiły: dezaprobatę i oburzenie. Belinda została wezwana w celu wyjaśnienia swych nieodpowiedzialnych poczynań. Ona, panna Wentworth, zrobiła coś, na co nie ważył się nikt z przodków - zdradziła swój ród, poślubiając Granville'a.

Wyjeżdżając do Londynu, zdawała sobie sprawę, że nie uniknie spotkania ze stryjem. Uznała, że im szybciej będzie miała to za sobą, tym lepiej.

- Narobiłaś wielkiego bałaganu - oświadczył surowo.
- Wiem. - Spuściła wzrok.

- Trzeba natychmiast rozwiązać ten problem.

- Oczywiście.

Do pokoju weszła niewysoka pokojówka z tacą, na której stały dwie zabytkowe filiżanki i staroświecki imbryk ze świeżo zaparzoną herbatą. Stary, angielski obyczaj picia popołudniowej herbaty był w tym domu ściśle przestrzegany. I zawsze ten aromatyczny, o bursztynowej barwie napój podawano w ponad dwustuletnich filiżankach z cieniutkiej porcelany w błękitny wzór.

Stryj Hugh poczekał, aż służąca wyjdzie, po czym wskazał Belindzie miejsce naprzeciwko biurka.

- Usiądź i powiedz, w jaki sposób zamierzasz załatwić tę sprawę - nakazał.

Sięgnęła po imbryk z herbatą tylko po to, by zająć czymś ręce i nie musieć patrzeć stryjowi w oczy. Dla niej samej ta sytuacja była bardzo upokarzająca. Potrzebowała wsparcia, a nie reprimendy.

- Będę dążyła do unieważnienia tego ślubu.

Podniosła do ust filiżankę i upiła łyk. Właściwie przyrządzona angielska herbata to nie tylko napój z ziół i gorącej wody. Zawsze podawano do tego maślane ciasteczka, małeńkie kanapki na jeden kęs i ciepłe babeczki. Nie była łakomczuchem, ale miała słabość do ciepłych babeczek. Babeczki kruche, z borówkami, z rodzynkami, z czekoladą, z truskawkami...

Nagle przed oczami ujrzała niechciany obraz. Ona i Colin Granville w hotelowym łóżku, pijący szampana, jedzący truskawki... Ledwie słyszała, co mówi do niej stryj Hugh.

- ... grzech młodości?

- Słucham? - Wróciła myślami na ziemię.

Stryj uniósł brwi, dając do zrozumienia, że powinna być uważniejsza.

- Powiedziałem, że każdemu zdarzają się grzechy młodości. - Po chwili dodał tonem usprawiedliwienia. - Cóż, byłaś wtedy jeszcze bardzo niedojrzała.

Cała jej postać zdradzała, że czuje się winna.

- Nie wiem, czy to dla mnie wystarczająca wymówka - mruknęła, ze wzrokiem wbitym w podłogę. - Miałam przecież trzydzieści lat.

- Moje dziecko, nie jestem jeszcze tak stary, by nie pamiętać, jak to jest, gdy się ma dwadzieścia albo więcej lat. Łatwo wtedy o błędy. Właściwie całą winę ponosi ten drań, Easterbridge. Uwiódł cię, pewnie na złość naszej rodzinie - mówił, nie zdając sobie sprawy, że jego słowa mogą być dla Belindy bolesne. - Nie spodziewałem się jednak tego po tobie. Miałaś wszystko, o czym tylko można marzyć. Zostałaś wysłana za granicę do szkół, do Marlborough College, a potem na studia do Oksfordu. Wydawałaś się taka rozsądna. W najgorszych snach nie przewidziałbym takiego scenariusza.

Belinda skrzywiła się nieznacznie. Najsłynniejszą absolwentką Marlborough College była Kate Middleton, obecnie księżna Cambridge, która pewnego dnia miała stać się królową Anglii. Prawdziwa kobieta sukcesu. Belinda tymczasem poniosła zupełną klęskę na rynku matrymonialnym. Wplątała się w małżeństwo z nieodpowiednim człowiekiem i straciła szansę na małżeństwo z tym odpowiednim.

Martwiła się, że rozczarowała stryja Hugh'a. Od śmierci ojca, który zmarł po długiej chorobie, gdy miała trzynaście lat, był bardzo ważną osobą w jej życiu. Jako starszy brat jej ojca i głowa rodu automatycznie wszedł w rolę opiekuna. Belinda starała się być dobrą przybraną córką. Dorastała w posiadłości stryja, ucząc się pływać i jeździć na rowerze podczas wakacji. W szkole dostawała najlepsze stopnie, nie przeżywała młodzieńczego buntu i nigdy nie dała powodu, by jej imię znalazło się plotkarskiej prasie. Aż do teraz.

Stryj Hugh westchnął i pokręcił z dezaprobatą swą siwą głową.

- Niemal trzy wieki względnego spokoju, a teraz to. Czy wiesz, że jedna z twoich prababek, Emma, została uwiedziona przez Granville'a, skończonego łajdaka? Na szczęście rodzina zapobiegła skandalowi, wydając tę nieszczęsną dziewczynę za najmłodszego syna jednego z baronetów. W XIX wieku też nam zależli za skórę, roszcząc sobie prawo do naszej ziemi. Co za podstępni, okropni ludzie. Aż dziwne, że należą do arystokracji.

Belinda słyszała te historie już setki razy. Właśnie otwierała usta, by wtrącić, że sytuacja jej i Colina to coś zupełnie innego, gdy usłyszała szorstki, kobiecy głos.

- Ach, nareszcie się z tobą rozmówię.

Belinda odwróciła się i zaklęła bezgłośnie. Mało jej było uwag stryja, teraz będzie musiała jeszcze wysłuchiwać pretensji matki, a ta, jak zawsze, wyglądała perfekcyjnie,

zupełnie jakby dopiero co wyszła z salonu piękności. Doskonała fryzura, markowa elegancka garsonka i kosztowna biżuteria.

Belinda nie przypominała fizycznie swojej matki, która była drobną blondynką, podczas gdy ona sama była posagową brunetką. Zdecydowanie wrodziła się w Wentworthów.

- Mamo, przecież rozmawialiśmy zaraz po ślubie - zauważyła.

Pani Wentworth popatrzyła na nią i zmarszczyła brwi.

- Tak, kochanie, ale niewiele się od ciebie dowiedziałam.

- Powiedziałam ci wszystko, co wiem - upierała się Belinda.

- Chyba nie wszystko, bo w dalszym ciągu nie rozumiem, jak to możliwe, że byłaś mężatką od dwóch lat i nie wiedziałaś o tym.

- Mamo, mówiłam ci przecież. Okazało się, że małżeństwo nie zostało anulowane. Robię teraz wszystko, żeby to naprawić - wyjaśniała cierpliwie.

- O tym skandalu mówi się i w Nowym Jorku, i w Londynie. - Pani Wentworth przeniosła wzrok na stryja Hugh'a, po czym znów spojrzała na córkę. - Niby jak zamierzasz to naprawić? To katastrofa. Dramat!

Belinda przygryzła wargę. Nigdy nie miała dobrych stosunków z matką. Różnił je nie tylko wygląd, ale także charakter, temperament i stosunek do życia.

- Oj, Belindo, Belindo... - westchnęła matka, opadając na krzesło. - Jak mogłaś być taka lekkomyślna, taka nieodpowiedzialna. Jak mogłaś, jak mogłaś...

Belinda zaczęła podejrzewać, że rodzina nigdy jej nie wybaczy i do końca życia będą ją dręczyć tym samym retorycznym pytaniem i przedstawiać w rodowych opowieściach jako wyrodną córkę, czarną owcę w rodzinie, przyczynę ich wszystkich zmarnięć.

- Miałam nadzieję, że wyjdiesz dobrze za mąż. - Pani Wentworth nie przestawała ubolewać nad swoim ciężkim losem. - Rodzina liczyła na ciebie. Wszystkie twoje koleżanki ze szkoły znalazły świetne partie.

Belinda w porę się powstrzymała, by nie wypalić, że przecież znalazła świetną partię. Jakkolwiek na to patrzeć, Colin był przystojny, bogaty i utytułowany. Jedyne szkopuł

w tym, że nosił nazwisko, które wśród członków jej rodziny nie cieszyło się sympatią ani szacunkiem.

- Spędziłam cały dzień z rodzicami Toda. Byli równie mocno zszokowani tą sprawą jak ja. Mimo to w dalszym ciągu zamierzają przekazać wam posiadłość, gdy już zostaniecie małżeństwem.

Belinda powoli zaczynała mieć dość tej rozmowy. Czuła się jak pionek w rękach swoich najbliższych. To jej sprawa, czy zechce w ogóle jeszcze wyjść za Toda. Tak naprawdę nie łączyło ich głębokie uczucie. Chcieli zawrzeć małżeństwo z praktycznych względów. Znali się od dziecka i dobrze czuli się w swoim towarzystwie. Wiedziała, że Tod szukał odpowiedniej żony ze swojej sfery, a ona skończyła trzydzieści lat i zapragnęła założyć rodzinę. Wiedziała, że jej małżeństwo będzie się opierało przede wszystkim na wzajemnej sympatii, szacunku i podziwie i godziła się na to, mimo że w głębi duszy pragnęła, by Tod mógł wyzwolić w niej choć małą cząstkę tej namiętności, którą czuła do Colina. Nie można jednak mieć wszystkiego.

Tod powiedział, że poczeka, aż cała sprawa się wyjaśni, ale nie sprecyzował, jak długo będzie w stanie czekać.

- Skoro już stało się najgorsze, to może uda ci się jednak wyciągnąć z tego jakieś korzyści - mówiła dalej matka. - Lepszy byłby rozwód, niż unieważnienie. Wtedy mogłabyś domagać się praw do części jego majątku.

- Mamo! - krzyknęła Belinda oburzona.

- No co?

- Nie mów tak. Pieniądze są tu najmniej istotnym czynnikiem, a poza tym mogłabym się domagać praw do jego majątku, gdyby to Colin chciał się rozwieść, a powiedział, że nie chce. Zapomnij więc o tym.

- Ale przecież nie podpisaliście intercyzy - zauważyła matka z radosną nutką w głosie, zaraz jednak jej uśmiech zgasł. - Nie zdziwiłabym się jednak, gdyby okazało się, że nosił intercyzę w kieszeni. Jego rodzina to przecież zbiór wyrachowanych, podłych ludzi!

- Mamo! Przestań!

Stryj Hugh pokiwał głową i zrobił zatroskaną minę.

- Nie wiemy, co temu szczeranemu lisowi chodzi po głowie. Najważniejsze, by Belinda uwolniła się od niego raz na zawsze. Lepiej nie domagać się żadnego podziału majątku. Jeszcze tylko by tego brakowało, żeby on zechciał położyć łapy na którejś z naszych posiadłości.

Pani Wentworth złożyła ręce jak do modlitwy i rzekła przyciszonym głosem.

- Całe szczęście, że żadna z rezydencji naszej rodziny nie została na nią przepisana.

- Niby tak - mruknął stryj Hugh. - Ale to przecież ona jest spadkobierczynią.

Tak naprawdę Belinda wcale nie czuła się dziedziczką rodowych majątków. Od kilku lat prowadziła niezależne życie w Nowym Jorku i zarabiała na wszystkie swoje potrzeby. Bardzo chciała wyzwolić się spod presji rodziny, która zawsze próbowała kontrolować jej poczynania. I ostatnio nawet to się jej udawało. W samą porę przypomniała sobie o swojej niezależności.

- Sama dogadam się z markizem Easterbridge - oznajmiła z determinacją, powstrzymując się przed nawykiem przygryzania górnej wargi.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać - przywitała się Belinda, wchodząc do sali konferencyjnej w biurze Colina.

Miała nadzieję na spokojną i uprzejmą rozmowę.

- Nie ma za co - odparł, kiwnąwszy głową.

Zauważyła, że wzrok Colina spoczął na jej lewej dłoni, na której nie błyszczał już zaręczynowy pierścionek. Poczowała przyspieszone bicie serca. Dobrze, że przyszła do jego biura. Chciała spotkać się z nim na osobności, ale nie życzyła sobie nazbyt odosobnionego miejsca. Noc, którą przeżyli razem, już na zawsze będzie jej wstydliwym wspomnieniem, stałą częścią ich wspólnej historii.

Belinda zmierzyła go wzrokiem. Ubrany był nienagannie, w markowy garnitur i białą koszulę. W jego wzroku zaś była jakaś drapieżność pantery, która pragnie podroczyć się ze swą ofiarą.

Colin gestem ręki wskazał krzesło.

- Kawy? Herbaty?

- Nie, dziękuję - odparła, siadając przy konferencyjnym stole.

- Wróciłaś niedawno z Londynu, prawda?

- Tak. Musiałam przeczekać tę burzę, która się rozpetała. - Z trudem powstrzymywała się, by nie dodać „przez ciebie”. - Wiem, że jesteś zajęty, więc przejdźmy do rzeczy. Wyjaśnij mi, jak to możliwe, że nadal jesteśmy małżeństwem.

- Po prostu dokumenty nie zostały nigdy zatwierdzone przez sąd.

- Ach, tak - mruknęła, udając, że przyjmuje takie wyjaśnienie, choć wątpiła w szczerść Colina. - Mam nadzieję, że zwolniłeś swojego prawnika.

Oddychała spokojnie, miarowo, panując nad sobą. Adwokat, z którym się konsultowała, wyjaśnił jej całą sytuację.

- Nie ma sensu patrzeć w przeszłość - zauważył Colin. - Ważniejsze jest to, co zrobimy teraz.

- Teraz? - Belinda zmrużyła oczy. - Oczywiście, trzeba unieważnić nasze małżeństwo albo przeprowadzić rozwód. Na szczęście istnieje coś takiego jak rozwód bez orzekania o winie, więc nie będę musiała kłamać w sądzie, że zdradziłeś mnie lub porzuciłeś.

- Ładnie to sobie wymyśliłaś. Jest tylko jeden problem.

- Tak? A jaki? - spytała.

- Rozwód bez orzekania o winie może nie być zbyt przekonujący dla sędziego.

Popatrzyła na niego zdumiona. O czym on mówi?

- Chcesz powiedzieć, że...

- Chcę powiedzieć, że nie zamierzam ułatwić ci rozvodu, bez względu na to, czy będziesz go przeprowadzała w Nowym Jorku, czy w innym miejscu.

Belinda miała wrażenie, że jest bohaterką sennego koszmaru.

- Zepsułeś mi ślub, a teraz chcesz przeszkodzić w rozwodzie?!

- Ślub i tak byłby nieważny. Nawet gdybyś wyszła wtedy za Dillinghama, szybko wyszłoby na jaw, że dopuściłaś się bigamii.

Belinda zagryzła wargi, żeby nie wykrzyknąć, co o nim myśli.

- Co za ironia losu - kontynuował. - Właśnie to małżeństwo, które chciałaś zawrzeć z całym ceremoniałem, okazałoby się nieważne, podczas gdy nasze wciąż trwa.

- Zepsułeś mój ślub! - zaatakowała. - Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego zniszczyłeś moją uroczystość? Mogłeś już po ceremonii powiedzieć mi na osobności, że nasze małżeństwo nie zostało unieważnione. Nie byłoby tego całego skandalu...

- A nie powinnaś mi być wdzięczna, że uchroniłem cię przed popełnieniem przestępstwa bigamii?

- Mogłeś to zrobić dużo wcześniej, ale ty czekałeś do ostatniej chwili - wyrzuciła z siebie, patrząc na niego z wściekłością.

- A ty nie? Jestem ciekaw, jak udało ci się utrzymać w tajemnicy nasz ślub w Las Vegas. Czy Tod miał w ogóle o tym pojęcie? Wyznałaś mu swój mały sekret?

Zbladła. Z trudem przełknęła ślinę i uciekła wzrokiem.

- Tod mnie wspiera we wszystkim. - Chciała, by jej głos zabrzmiał mocno i pewnie, ale była kiepską aktorką.

- To znaczy, że nie... - powiedział, patrząc wymownie na jej lewą dłoń. - Nie nosisz pierścionka od niego. Czyżby tak miało wyglądać jego wsparcie? Zostawia cię z całym tym bałaganem i czeka, aż sama posprzątasz? Nasuwa się pytanie, jak długo będzie w stanie czekać.

- Tak długo, jak będzie trzeba - odcięła się.

Mierzyli się wzrokiem przez dłuższą chwilę. Tak naprawdę nie była pewna, czy Tod będzie czekał. Może gdyby jeszcze był w niej bardzo zakochany, ale w ich sytuacji?

- Nawet mu nie powiedziałaś, że już miałaś jeden ślub za sobą. A może bałaś się, że nie spodoba mu się historia szybkiego ślubu w Vegas? - prowokował.

- Jedyne, co mogłoby mu się nie spodobać, to fakt, że panem młodym byłeś ty - zripostowała.

- Z pewnością. Fakty jednak są takie, że kiedy przygotowywałaś się do ślubu ze swoim ukochanym Todem, zapomniałaś wspomnieć w urzędzie stanu cywilnego, że masz już jeden ślub za sobą.

Belinda poczuła, jak zapłonęły jej policzki. Rzeczywiście, nie zgłosiła w dokumentach ślubu w Las Vegas. Wydawało jej się, że skoro odbyło się to w innym stanie i ślub został unieważniony, to tak jakby nigdy nie miał miejsca. Czyż unieważnienie nie znaczy, że coś nigdy nie istniało?

- Widzę, że masz dużą wiedzę na ten temat, a mimo to nie potrafiłeś załatwić unieważnienia - rzuciła z przekąsem. - A w ogóle, czy rozmawiałeś już o tym z prawnikiem?

- Niby po co, skoro ty już to zrobiłaś? Powiem wprost. Jeśli zechcę utrudnić ci rozwód, jeszcze przez długie lata będziesz moją żoną.

- Zamierzasz ze mną walczyć? - Oczy Belindy miały skry.

- Owszem, wszelkimi możliwymi sposobami.

- To ja wygram - oznajmiła, chyba tylko po to, by samej sobie dodać odwagi.

- Być może, ale głośny rozwód z pewnością nie będzie na rękę twojej rodzinie...

Belinda na samą myśl o skandalu, poczuła mdłości. Rodzina jej nigdy tego nie wybaczy. Będą ją obwiniać o to, że ich nazwisko szargane jest w brukowcach i plotkarskich serwisach internetowych. Zastanawiała się też, jak zareagują na to Dillinghamowie.

- Jesteś markizą Easterbridge - dodał po chwili Colin z ironicznym uśmiechem. - Właściwie nic nie stoi nie przeszkodzie, żebyś używała tego tytułu.

Markiza Easterbridge? Dobrze, że jej przodkowie nie dożyli tej chwili.

- Dobrze, że zdecydowałaś się po naszym ślubie zachować swoje nazwisko rodowe. W przeciwnym razie okazałoby się, że od dwóch lat podpisujesz się z błędem.

Mimo że wzięła z nim ślub, nie zdecydowała się wtedy przyjąć jego nazwiska. I całe szczęście. Belinda Granville... To brzmiało jeszcze gorzej niż markiza Easterbridge. To drugie było tylko tytułem szlacheckim, podczas gdy Granville było nazwiskiem wrogów rodziny.

- Dlaczego to robisz? - wybuchła. - Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie możemy się rozstać jak cywilizowani ludzie i spokojnie, kulturalnie przeprowadzić rozwód albo najlepiej byłoby, gdybyśmy po prostu postarali się o unieważnienie tego głupiego ślubu...

- Cywilizowani? - zakpił. - Stosunki Granville'ów z Wentworthami nigdy nie były cywilizowane.

- Czego więc chcesz? Nie chciałbyś już zakończyć tej farsy i zacząć nowego życia? Chodzi ci o jakąś zemstę? Bawi cię upokarzanie mojej rodziny? Nie wystarczy, że od wieków nasze rody ze sobą walczą?

Podszedł bliżej i popatrzył na nią z góry.

- Nadszedł więc czas, by to zakończyć - rzekł spokojnym, poważnym głosem. - Mam zamiar pokonać Wentworthów raz na zawsze. A zacznę od ciebie, moja śliczna żono.

Nadszedł czas, by wyrównać rachunki. Dwa lata pracował nad każdym szczegółem, planował ten moment i cieszył się, że czekanie dobiegło końca.

Tego wieczora gościł w swoim londyńskim mieszkaniu dwóch przyjaciół: Sawyera Langsforda, hrabiego Melton oraz Jamesa Carsdale, księcia Hawkshire. Ponieważ szczęśliwym zbiegiem okoliczności wszyscy trzej przebywali akurat w mieście, postanowili spotkać się na drinku.

Przyjaźnili się od lat, mimo że często byli w rozjazdach i nie mieli zbyt wielu okazji, by spędzać ze sobą czas. Dziwnym zbiegiem okoliczności każdy z nich przeżył romantyczną przygodę w tym samym okresie.

Sawyer niegdyś zwrócił uwagę na Tamarę Kincaid, druhnę Belindy, zaś James zainteresował się Pią Lumley, organizatorką ślubu Belindy.

- O co ty grasz, Easterbridge? - spytał enigmatycznie James, pijąc do jego nierozwiązanego małżeństwa.

- O najwyższą stawkę - odparł lekko, nieco znudzonym tonem. - Uwierz mi, nie chciałbyś brać w tym udziału.

James jedynie uniósł jedną brew, zaś Sawyer wzruszył ramionami.

- Robię po prostu wszystko, co w mojej mocy, by nazwisko Granville stało się synonimem sukcesu.

A czy mógł być większy sukces, niż ostateczne pogrążenie największego wroga jego rodziny - członka klanu Wentworthów?

Dawniej Colin nie myślał wiele o tej rodowej waśni. Uważał, że nie ma sensu wdawać się w spór z powodu czegoś, co wydarzyło się wiele lat temu. Nie interesowało go, kto komu uwiódł żonę, ani kto zajął czyją ziemię. W ciągu całego swego trzydziesto-siedmioletniego życia unikał zatargów z rodziną Wentworthów, co nie znaczy, że dążył do przyjaźni z nimi. Wszystko zmieniło się, gdy niespodziewanie spotkał Belindę w Las Vegas. Ich ścieżki przecinały się przy różnych okazjach i Colin musiał przyznać, że intrygowała go ta dziewczyna. Była młodsza od niego o sześć albo siedem lat, dlatego, mimo że wychowywali się w sąsiedztwie, nie mieli okazji do nawiązania bliższej znajomości. Kiedy Colin miał trzynaście lat, został wysłany do Eton, by kontynuował tam naukę i bardzo rzadko odwiedzał dom rodzinny. A gdy powrócił, to z kolei Belinda wyjechała do szkoły.

Kiedy pewnego wieczoru spotkał ją w Las Vegas, uznał, że pojawiła się doskonała okazja, aby zaspokoić swoją ciekawość i poznać ją bliżej. Tamtej nocy do niczego nie doszło, poza miłą rozmową, ale to tylko zaostrzyło jego apetyt. Kiedy kilka dni później wpadli na siebie w hotelu Bellagio, był zdecydowany ją uwieść i zaprosił na drinka. Bawili się świetnie, pijąc, jedząc i korzystając z atrakcji kasyna.

A potem, kiedy jechali windą do jego pokoju, Belinda zażartowała, że jak prawdziwa księżniczka odda mu się dopiero po ślubie. Wyglądała tak pociągająco, zrelaksowana i roześmiana, że zrobił krok w jej stronę.

- Czy to się godzi, bym się z tobą zenił, skoro nawet cię nie pocałowałem? - wyszeptał.

Jej migdałowe oczy załśniły.

- Nigdy nie pozwolę mężczyźnie się zbliżyć, póki nie złoży obietnicy - odparła żartobliwym tonem, choć wyczuł w tym lekki fałsz.

- Ktoś cię skrzywdził - stwierdził bez ogródek.

Wzruszyła tylko ramionami. Wtedy wziął jej twarz w swoje dłonie, obrysował kciukiem kontur warg. Belinda zamknęła oczy i pozwoliła, by ją pocałował. Smakowała słodko, jak najdoskonalszy trunek, jak miód. Ich oddechy zmieszały się ze sobą. Tulił ją do siebie, świadom, że tuż za nimi znajduje się jego pokój, do którego mogą wejść w każdej chwili.

Nigdy nie brakowało mu odwagi, wręcz brawury w działaniu, oczywiście ku rozpaczy matki, która wolałaby, żeby dziedzic Easterbridge nie narażał swego arystokratycznego karku.

- Jesteśmy w Vegas, a tu można zrobić wszystko - powiedział, gdy wreszcie oderwali się od siebie.

Belinda spojrzała nań pytająco.

- Gdzieś tu musi być ślubna kaplica.

Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo, ogarnięci pokusą, by poddać się instynktowi, by nie myśleć o konsekwencjach, o tym, co właściwe, a co niewłaściwe. Bez trudu odnaleźli kaplicę. Dla Colina kobieta stojąca obok niego w czerwonej sukience i wypowiadająca słowa małżeńskiej przysięgi była uosobieniem zmysłowości i piękna. Jej uśmiech, pełen dziewczęcej swawoli, a jednocześnie obietnic dojrzałej kobiety działał na niego jak afrodyzjak.

A potem, kiedy wrócili do hotelu, zadziwiła go, że potrafiła być taka naturalna, spontaniczna i nieskrępowana. Niestety następnego ranka nie przypominała tej kobiety, z którą poszedł do łóżka. Okazywała mu chłód i niechęć, i niemal natychmiast po przebudzeniu oświadczyła, że ich małżeństwo trzeba jak najszybciej anulować. To go ubodło. Przez wzgląd na swoją dumę nie okazał jednak jak bardzo.

Ta jedna noc sprawiła, że skądinąd abstrakcyjny dla niego konflikt Granville'ów z Wentworthami stał się częścią jego własnej historii. Zamierzał doprowadzić tę sprawę do końca i oczywiście wygrać. Tylko on jeden wiedział, o co tak naprawdę mu chodziło. Stawką nie była zemsta, ale coś znacznie ważniejszego. Jego własne szczęście i przyszłość. To dlatego w sekrecie, przez podstawionego nabywcę, kupił jedną z najpiękniejszych posiadłości pod Londynem, oczywiście bez wiedzy Wentworthów.

- Bądź ostrożny - odezwał się James. - Czasami nawet wytrawni gracze przegrywają.

Colin uśmiechnął się przebiegle i z miną zwycięzcy powiedział:

- W tej chwili to ja rozdaję wszystkie karty.

TLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

Siedem miesięcy później

Wkrótce będzie wolna, a przynajmniej znów będzie niezamężna, bo niestety nigdy nie uwolni się od wymagań i oczekiwań swojej rodziny, która miała ambicję kierować Belindą według własnego widzimisie. Teraz oczekiwali, że znów wyjdzie za mąż, tylko tym razem za kogoś z odpowiedniej rodziny.

Od tamtego fatalnego czerwcowego dnia, gdy Colin przerwał uroczystość, nieustannie towarzyszył jej lęk, by skandal nie przybrał na sile, by potrafiła uporać się z tą całą sytuacją w miarę spokojnie. Na szczęście wszystko wskazywało, że wkrótce jej fatalne małżeństwo zostanie rozwiązane. Zależało jej, by stwierdzono nieważność ślubu, a nie rozwód. W przypadku stwierdzenia nieważności oznaczałoby to, że tak naprawdę nigdy nie byli małżeństwem. Wydawało się, że w stanie Nevada łatwiej będzie o to niż w Nowym Jorku.

Niestety jej kontakty z Todem znacznie się rozluźniły w trakcie tych siedmiu miesięcy czekania. Nie mogła winić narzeczonego, że nie zabiegał o nią, skoro prawnie wciąż była żoną innego.

To już nie potrwa długo, pomyślała, jadąc w kierunku prywatnej posiadłości jakiegoś kolekcjonera w Nevadzie, który życzył sobie, by wyceniła jego zbiór dzieł francuskich impresjonistów. To zlecenie spadło jej jak z nieba. Dzięki temu mogła na miejscu śledzić postępy sprawy rozwodowej i dopilnować wszystkiego osobiście. Następnego dnia miała się spotkać ze swoim prawnikiem w tej sprawie.

Gdy wysiadła z samochodu, przez dłuższą chwilę podziwiała imponującą rezydencję, nawiązującą stylem do hiszpańskich hacjend. Wokoło kwitły kaktusy, a ciepłe powietrze pachniało piaskiem, słońcem i wakacjami. W tej dzielnicy Las Vegas nawet w marcu była piękna pogoda, w przeciwieństwie do warunków klimatycznych panujących w Nowym Jorku czy Londynie, do których przywykła.

Słyszała, że ta posiadłość jest jedną z najbogatszych i najpiękniejszych w Las Vegas. Mimo że właściciel rzadko ją odwiedzał, była doskonale utrzymana. Rozejrzała

się wokoło, ale nie dostrzegła żadnego samochodu, uznała więc, że kolekcjoner jest poza domem. Nacisnęła guzik domofonu i po chwili na powitanie wyszła niewysoka kobieta w średnim wieku, zapewne gospodyni, która zaprowadziła Belindę do jej apartamentu.

Gdy już rozpakowała się i odświeżyła, została zaproszona przez gospodynię do zwiedzenia posiadłości. Pokoje były przestronne i pięknie urządzone, ale zupełnie pozbawione osobistych drobiazgów i pamiątek. Idealnie nadawałyby się do eleganckiego katalogu prezentującego luksusowe wnętrza domów. Belinda nie dziwiła się temu, gdyż, jak jej mówiono, ta posiadłość była jedynie jedną z inwestycji właściciela, a nie jego prawdziwym domem.

Mniej więcej po czterdziestu minutach udała się wraz z gospodynią na piętro, które zostało zaadaptowane na galerię sztuki. Gdy kobieta otworzyła podwójne szklane drzwi, Belinda zamarła z zachwytu. Natychmiast rozpoznała obrazy Moneta, Renoira i Degas. Oczywiście były to mniej znane prace mistrzów, których dzieła zdobiły muzea na całym świecie. Mimo to dla niej, eksperta sztuki, nie istniało pojęcie „mniej znane obrazy” Renoira czy Moneta. Co więcej, prace te kilka lat temu wystawione były na licytację, którą to ona właśnie zorganizowała. Pamiętała, że osiągnęły zawrotną cenę i przez dłuższy czas zastanawiała się, kim był tajemniczy nabywca. Obrazy były przepiękne, prawdziwe dzieła sztuki. Gdyby miała wystarczająco dużo pieniędzy, sama by je kupiła. Ich właściciel z pewnością miał dobry gust i wrażliwość potrzebną do trafnej oceny wybitnego dzieła.

Piętro, na którym znajdowała się wystawa, przypominało wnętrze jednej z sal w muzeum. Pomieszczenie było przestronne i jasne, a na ścianie, w dyskretnym miejscu, znajdował się miernik temperatury. Kilka wygodnych sof rozmieszczonych było w ten sposób, że bez względu na to, gdzie się usiadło, miało się doskonały widok, by podziwiać wiszące na ścianach obrazy.

Gospodyni uśmiechnęła się i skinęła uprzejmie głową.

- Wyjdę, by mogła pani obejrzeć to wszystko w spokoju.

- Dziękuję.

Belinda udała się do centralnej części, gdzie wisiały dzieła Moneta i Renoira, usiadła na jednym z krzeseł, by poddać ocenie przedmioty swoich badań. Obraz Moneta

przedstawiał kobietę i mężczyznę pogrążonych w poufalej rozmowie, u Renoira na tle zielonego krajobrazu widniała tańcząca w mocnym uścisku para, zaś u Degas prezentowała się typowa dla niego baletnica kręcąca piruety.

Po kilku minutach Belinda wstała i podeszła bliżej do obrazu Renoira. W tym momencie usłyszała za sobą kroki i nim zdążyła się odwrócić, usłyszała charakterystyczny głos.

- Mam nadzieję, że są warte więcej, niż za nie zapłaciłem.

Głos był niski, głęboki, o przyjemnej barwie i... znajomy. Zamarła, po czym odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z markizem Easterbridge.

- Ach, to ty... - szepnęła zdumiona, a jej oczy załśniły złowrogo.

- Myślę, że odpowiednim zwrotem będzie „mój mężu” - dokończył za nią z uśmiechem.

- Jak się tu dostałeś?

Sprawiał wrażenie rozbawionego.

- To mój dom - stwierdził bardzo zadowolony z siebie.

Belinda uznała, że Colin wygląda jak kot, który właśnie połknął kanarka.

- Powrót na miejsce zbrodni? - zakpiła, starając się zamaskować zdenerwowanie.

- Masz na myśli nasz ślub? A tak przy okazji, wiesz, że teraz przypada nasza trzecia rocznica?

- Doprawdy? Nie liczyłam. Jedyna rocznica, jaką chciałabym świętować, to rocznica anulowania tego ślubu.

Colin zrobił krok w jej stronę.

- I dlatego przyjechałaś do Vegas?

- Owszem, bez względu na to, czy tego chcesz, czy nie.

Colin przez chwilę patrzył na nią nieprzenikniętym wzrokiem.

- Mam nadzieję, że podobają ci się moje obrazy? - spytał, wskazując na ścianę.

- Obchodzi cię to? - Belinda była wściekła.

- A masz jakieś wątpliwości? - Posłał jej łobuzerski uśmiech, z czym było mu niezwyczajnie do twarzy.

- Zwabiłeś mnie tu.

- Chciałem ci tylko uprzyjemnić pobyt w Vegas.

Belinda próbowała nie patrzeć w jego roześmiane oczy, które nawiedzały ją w snach, przypominając ich cudowną noc poślubną. Nigdy z nikim nie było jej tak dobrze.

- Masz zamiar sprzedać te obrazy? - spytała, siląc się na nonszalancję.

Zrobiło jej się przykro na myśl, że mógłby pozbyć się tych niezwykłych dzieł. Najchętniej sama by je kupiła.

- Nie, nie zamierzam ich sprzedawać - odpowiedział, potrząsając głową. - Zamierzam powiększać moją kolekcję. To świetna inwestycja.

Poczuła ulgę, choć pomyślała ze złością, że nie powinno jej to obchodzić.

- Więc po co chcesz, bym je wyceniła? Są autentyczne, przecież wiesz, a ja mogę dać ci na to moje słowo.

- Powiedziałem już, że chciałbym wiedzieć, czy warte są więcej, niż za nie zapłaciłem. Jeśli coś staje się moją własnością, chcę, by to była jednocześnie dobra inwestycja.

Belinda miała niejasne przeczucie, że słowa Colina mają podwójny sens, ale nie do końca rozumiała jaki. Widziała, jak jego wzrok przesuwają się z aprobatą po jej sylwetce i poczuła, że drży. Ciało pobudzone spojrzeniem tego przystojnego mężczyzny zaczęło przyjemnie pulsować.

- Dlaczego to robisz? - Uznała, że czas najwyższy wyłożyć karty na stół. Chciała wiedzieć, czego od niej chciał i dlaczego utrudniał jej rozwód.

Colin nie zamierzał udawać, że nie rozumie jej pytania.

- Może chciałbym być tym człowiekiem, który zakończy odwieczny konflikt Wentworthów z Granville'ami?

- Jeśli chcesz zakończyć nasz konflikt, wystarczy, że podpiszesz papiery rozwodowe.

- Tak bardzo tego chcesz? - spytał, krzyżując ręce na piersi. - A jaką podamy przyczynę naszego rozstania?

- Możesz zawsze powiedzieć, że rozwodzimy się z powodu cudzołóstwa - zasugerowała.

- Mojego czy twojego? - spytał, mierzając ją wzrokiem.

- Mojego oczywiście - odparła szybko.

- Jesteś okropną kłamczuchą - prychnął.
- Nie wiem, o co ci chodzi - obruszyła się, uciekając wzrokiem.
- Oczywiście, że wiesz. Przecież ty nigdy nie spałaś z Dillinghamem.

Jego zuchwałość sprawiła, że przez krótką chwilę nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

- Czyżby? - Jej głos był pełen pogardy - A ciekawe, skąd to możesz wiedzieć?
- Małżeństwa z rozsądku raczej rzadko wiedzą, co to jest namiętność. A właśnie do takich zaliczałoby się twoje z Todem.

Belinda gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Trzy lata temu zgodziłaś się pójść ze mną do łóżka dopiero po ślubie, przypuszczam więc, że od swego narzeczonego również zażądałaś wstrzeźliwości aż do dnia ślubu.

Belinda zorientowała się, że przygryza górną wargę i natychmiast przestała. Każdy, kto ją dobrze znał, wiedział, że był to jej nawyk. Zawsze, gdy była zdenerwowana, zagryzała wargę.

- Rozmawiałaś ze swoim stryjem ostatnio? - spytał zniecierpliwiony.

Zaskoczyło ją to pytanie.

- Nie - odpowiedziała automatycznie. - A co jest ze stryjem Hugh?

- Nic, tylko przeniósł się ze swojej posiadłości Mayfair.

Belinda wiedziała, że stryj często pomieszkiwał w innych swoich rezydencjach.

- To nic nadzwyczajnego... - zaczęła zniecierpliwiona.

- Być może na stałe.

- Dlaczego to zrobił? - Zaniepokoiła się.

- Dlatego, że Mayfair należy teraz do mnie.

Belinda pokręciła głową z niedowierzaniem.

- To niemożliwe.

Zaledwie kilka miesięcy temu była w Mayfair siedzibie rodu Wentworthów od pokoleń. Stryj rzeczywiście wydawał się nieco zmartwiony, ale sądziła, że to z jej powodu. Czyżby miał problemy finansowe?

- Zapewniam cię - kontynuował Colin - że umowa kupna została poprawnie sfinalizowana w przeciwieństwie do naszych dokumentów rozwodowych. Twój stryj może nadal tam mieszkać, ale właścicielem jestem ja.

Belinda patrzyła na niego osłupiałym wzrokiem. Jakby nie dość miała własnych problemów...

- Jak to możliwe? Jesteś ostatnią osobą, której stryj sprzedałby cokolwiek.

- To proste. Nie był świadomy, że to ja byłem nabywcą. Posiadłość nabyła jedna z moich firm. Pewnie sądził, że sprzedaje dom jednemu z rosyjskich oligarchów. To była szybka sprzedaż za dobre pieniądze. Twój stryj na gwałt potrzebował gotówki.

- A co to ma wspólnego ze mną?

- Nie tak prędko. Powinnaś też wiedzieć, że nabyłem jedną z waszych dwóch posiadłości w Berkshire.

Belinda miała wrażenie, że uchodzi z niej cała energia. Jej rodzina od niepamiętnych czasów była właścicielem dwóch posiadłości w Berkshire. Mniejsza weszła do rodu poprzez małżeństwo jej praprababki, zaś większa, którą prawdopodobnie nabył Colin, należała do nich od czasów Edwarda III. Downlands, bo taką nosiła nazwę ta posiadłość, graniczyło z ziemiemi Granville'ów i było przedmiotem waśni w dziewiętnastym wieku.

Belinda znowu zagryzła wargę, a w głowie huczało jej od natłoku myśli. Przecież nie ponosi żadnej odpowiedzialności za to, co się dzieje z rodowym majątkiem. Ma swoje życie w Nowym Jorku i nie ma nic wspólnego z wojną, którą od dawna toczy jej rodzina.

Czy jednak na pewno?

- Domyślam się, że Downlands nabyłeś również anonimowo, za pośrednictwem swojego przedsiębiorstwa, czyż nie? Jak ono się nazywa? LG Management, prawda? - wymieniła nazwę tajemniczej firmy, do której, jak jej mówiono, należy także hacjenda w Las Vegas.

- Zgadza się. LG Management. Lord Granville Management.

Zmrużyła oczy i wyduła wargi.

- Bardzo sprytne.

- Cieszę się, że tak uważasz.

Belinda nie rozumiała, jak to możliwe, by jej rodzina miała tak poważne kłopoty finansowe, a ona o niczym nie miała pojęcia. Czyżby sytuacja była aż tak tragiczna? Rzeczywiście, od kilku lat posiadłości systematycznie podupadały. Potrzebne były spore nakłady, aby utrzymać na wysokim poziomie tak olbrzymie majątki.

- Jak zapłaciłaś za swoje wystawne wesele z Todem? - spytał Colin, patrząc jej wyzywająco w oczy.

- To nie twoja sprawa - odburknęła.

Colin włożył dłonie do kieszeni.

- Jestem pewien, że Dillinghamowie ponieśli część kosztów, ale twoja rodzina przecież też musiała się dołożyć.

Prawda była taka, że część zapłaciła z własnej kieszeni, ale kiedy stryj Hugh i matka nalegali na wystawny ślub, zgodziła się pod warunkiem, że sami poniosą dodatkowe koszty. Zaczynała rozumieć, czym dla jej rodziny było odwołanie ślubu.

I nagle przyszła jej do głowy szalona myśl, że przecież teraz, jako żona Colina, ma swoje prawa. Może jeszcze nie wszystko stracone.

- Mimo że to ty jesteś właścicielem naszych posiadłości, ja mam również do nich prawo, w końcu jesteśmy przecież małżeństwem.

Nauczyła się czegoś od prawnika, który pomagał jej przy unieważnieniu ślubu.

- Owszem, masz prawo, ale tylko do połowy majątku. Sądziś, że uda ci się cokolwiek wywalczyć w sądzie? Nic z tego.

Belinda zdawała sobie sprawę, że on ma rację.

- Są jednak inne możliwości. Tak naprawdę nie zależy mi szczególnie na tych rezydencjach i przy odrobinie dobrej woli mógłbym pójść na kompromis.

- Jak rozumiem, oczekiwałbyś czegoś w zamian. Co miałabym zrobić?

Wpatrywał się w nią długo, przesuwając wzrok na usta i szyję.

- Trzy lata to wystarczająco długo, by rozmyślać o tym, jak to jest posiadać żonę i jednocześnie nie móc korzystać z małżeńskich przywilejów - powiedział, patrząc na nią znacząco.

Belinda poczuła, że rumieniec wstydu wypełził na jej policzki.

- Rozumiem, co masz na myśli. I sądzisz, że poświęcę siebie dla jakichś starych budynków i ziemi?

- Tak właśnie sędzę. W Mayfair i Berkshire spędziłaś całe swoje dzieciństwo.

Do diabła, znów miał rację. Dla niej rzeczywiście to nie były tylko stare budynki, ale ważna część jej życia. Pamiętała wszystkie chwile spędzone w Mayfair, ogień na kominku, zapach książek w bibliotece, tajemnicze zakamarki na strychu. W Berkshire nauczyła się jeździć konno, przemierzając długie trasy między polami a lasem. Posiadłość słynęła również z wystawnych przyjęć. Pamiętała, jak lubiła przyglądać się matce, która, szykując się przy toalecie, nakładała drogą biżuterię, wyjętą wcześniej z sejfów. Kiedy już podrosła, mogła towarzyszyć matce i to właśnie podczas przyjęć w Berkshire miała okazję poznać światowej sławy artystów, którzy rozbudzili w niej miłość do sztuki.

- Czego chcesz? - spytała Belinda, patrząc na niego zimnym, ostrym wzrokiem.

Miała dość jego gier, zasadzek, podstępów.

- Chcę kobiety, z którą się ożeniłem. Dla żony byłbym skłonny pójść na kompromis w sprawie tych dwóch posiadłości.

- Wiesz, o czym mówisz? Zdajesz sobie sprawy z wielowiekowej nienawiści naszych rodzin? Co by na to powiedział mój stryj? Miałabym się buntować przeciwko własnej rodzinie? Nie potrafię tego.

- Och, zapewniam cię, że potrafisz. Jesteś bardziej zbuntowana, niż chciałabyś przyznać - powiedział ciepło, zbliżając się do niej. - Czy to, że przeniosłaś się z Anglii do Nowego Jorku, z daleka od krewnych, nie było już tego przejawem? - Zrobił pauzę, po czym podjął oficjalnym tonem. - Masz wybór. Albo, moja tradycjonalistko, będziesz robiła to, czego oczekuje od ciebie rodzina, która już pewnie szuka dla ciebie odpowiedniego męża, i anulujesz nasze małżeństwo, albo weźmiesz sprawy w swoje ręce i będziesz żyła według własnych reguł, ale jako moja żona.

- To żaden wybór - mruknęła, uciekając wzrokiem. Co on o niej wiedział!? Do diabła, nie była tradycjonalistką, tylko po prostu była odpowiedzialna. Nie licząc oczywiście szalonej decyzji o ślubie w Las Vegas. - A co ty będziesz z tego miał?

- Już ci mówiłem. Zależy mi na rozwijaniu moich inwestycji.

Belinda była coraz bardziej rozdrażniona.

- Nie rozumiem, co to znaczy.

- A czy to ważne? - odparł lekko. - Pomyśl lepiej, co ty będziesz z tego miała. Możesz zrobić to, czego wymaga od ciebie rodzina i zakończyć nasze małżeństwo, ale wtedy majątki Wentworthów pozostaną w moich rękach. Tego chcesz?

Nie miała pojęcia, czego tak naprawdę chciała. To było zbyt wiele jak na jeden dzień. W dodatku mężczyzna, który nawiedzał ją w snach, stał teraz tak blisko niej, przystojny, piekielnie pociągający i wprawiający ją w dziwny stan ekscytacji pomieszanej z lękiem.

- Myślę, że ta druga opcja jest bardziej dla ciebie korzystna - kontynuował Colin. - Jako moja żona będziesz mogła w każdej chwili zabrać te obrazy do Downlands.

- Do Downlands? - Rzuciła mu krótkie, podejrzliwe spojrzenie. - Przecież ta posiadłość nie należy już do mojej rodziny.

- Ale może należeć do ciebie - kusił słodkim, zmysłowym głosem. - Jeśli pozostaniemy małżeństwem, od razu spiszę kontrakt.

Nie była na to przygotowana. Potrzebowała czasu, spokoju, by to wszystko przemyśleć, zanalizować...

Colin jednak nie zamierzał jej dać ani czasu, ani spokoju. Zrobił krok w jej stronę, tak, że dzieliły ich zaledwie centymetry. Uniosła wzrok i objęła spojrzeniem jego twarz. W kącikach oczu dostrzegła drobne zmarszczki, które tylko dodawały mu stanowczości i uroku. Jak na silnego, twardego mężczyznę miał delikatne, aksamitne wargi. Och, doskonale je poznała w ich noc poślubną, gdy przez długie godziny całował każdy zakamarek jej ciała. Pamiętała pożądanie, które ją wtedy opanowało i pewność, że oto jedyny mężczyzna, który rozumiał i odgadywał wszystkie jej najskrytsze pragnienia.

- Zamyśliłaś się - szepnął.

Kiedy usłyszała ten jego cichy, zmysłowy głos, poczuła, że ogień pali jej policzki.

- O czym tak dumasz? - spytał nieco rozbawiony. - Przypomniałaś sobie naszą noc w Vegas?

Jak mogłaby zapomnieć. Pamiętała wszystko, każdy gest, każde słowo, każdy dotyk jego ust. Nigdy potem nie była już tak szczęśliwa, żaden mężczyzna nie rozpałił w niej ognia, a nawet iskry namiętności.

- To był błąd - odparła automatycznie.

- Skąd taka pewność? Może gdybyś skorzystała z mojej propozycji, zmieniłabyś zdanie.

- Nie potrzebuję jeszcze raz wkładać ręki do ognia, by wiedzieć, że się sparzę - mruknęła.

- Hm... ogień... powiadasz. Ładna analogia.

- Nie to miałam na myśli...

Położył palec na jej ustach, zatrzymując potok słów. Opuścił dłoń niżej na podbródek, a potem dotknął szyi. Zacisnął delikatnie palce, wyczuwając kciukiem puls. Uśmiechnął się, stwierdzając z zadowoleniem, że jest znacznie przyspieszony, co tylko wzmocniło jego przekonanie, że działał na nią.

- Było nam wtedy dobrze ze sobą, prawda? - spytał. - Najlepszy seks.

Przełknęła ślinę. Starła się o tym nie myśleć, ale tak, to była najcudowniejsza noc w jej życiu.

- Czy to ma mi pochlebiać? - spytała wyzywająco.

Roześmiał się cicho.

- Oczywiście. Pomyśl tylko, że przystając na moją propozycję, będziesz mogła mieć wiele takich nocy.

- Wszystko ma swoją cenę - zauważyła chłodno.

- Ja będę w stanie zapłacić każdą.

- A co ze mną? Ile ja będę musiała zapłacić? - W jej głosie wyczuwalna była desperacja.

- Niewiele, biorąc pod uwagę to, co możesz zyskać. Chyba nie zapomniałaś tego, jak nam było razem dobrze?

- To wszystko wina Vegas. Człowiek traci tu rozum - machnęła lekceważąco ręką.

- A teraz znów tu jesteśmy, oddychamy tym samym powietrzem i to nasza trzecia rocznica ślubu.

- Nasze rodziny się nienawidzą. To zakazany owoc - przypomniała mu, jakby chciała błagać o zrozumienie, o litość, by nie wplątywał jej w związek, który nie ma przed sobą przyszłości.

- Jesteśmy małżeństwem. W obliczu prawa jesteś moja, a ja jestem twój.

Te słowa sprawiły, że zrobiło jej się gorąco i błogo. Należała do niego. Była jego żoną i znów mogła zostać jego kochanką. Poczuć ten rozkoszny dreszcz, kiedy muskał wargami jej szyję, odwzajemniać gorące pieszczoty, tulić się do jego mocnych i silnych ramion. A co potem?

- Jesteśmy jeszcze małżeństwem tylko dlatego, że nie grasz uczciwie. - Starła się nie ulec jego uwodzicielskim sztuczkom. Colin wiedział, jak zdobywać kobiety.

- Och, daj spokój. Wymagasz uczciwości, a sama jak postępujesz? Po naszej wspólnej nocy jedyne, czego chciałaś, to jak najszybciej się mnie pozbyć. Czy to było uczciwe? A na pewno nie było dla mnie miłe...

- A więc o to ci chodzi? Chcesz iść znowu ze mną do łóżka, by się zemścić?

- Jak zwykle nic nie rozumiesz. - Uśmiechnął się enigmatycznie.

Już miała zamiar się odwrócić, gdy Colin pochylił się nad nią i przycisnął usta do jej ust. Trzy lata. Trzy lata żyła ze wspomnieniem pocałunku markiza Easterbridge. Teraz jednak wszelkie wspomnienia przysłoniło to nowe doznanie. Gdyby pocałunek Colina był natarczywy i brutalny, być może zdołałaby mu się oprzeć, ale on smakował ją tak, jak smakuje się słodki drink, niespiesznie, lekko, radośnie. Jego język wsunął się w jej usta, zwiększając intensywność doznań. Rękę położył na jej plecach i przyciągnął mocno do siebie.

Belinda czuła ciepło jego ciała przez cienką dżersejową sukienkę i choć miała nadzieję, że wspomnienia były tylko wyidealizowanymi fantazjami, teraz wiedziała, że rzeczywistość jest wspanialsza od marzeń. Będąc w jego ramionach, przeżywała odurzającą mieszankę różnych emocji, od strachu, że wchodzi na zakazany teren, poprzez ciekawość, dokąd może ją to zaprowadzić, aż do ogromnej radości, że znów z nim jest. Wsunęła dłonie w gęste włosy Colina nad jego karkiem i ścisnęła mocno. Czuła narastające napięcie w dole brzucha i cudowną ocieężałość.

Dopiero po dłuższej chwili przyszło otrzeźwienie. To markiz Easterbridge, przypomniała sobie. Gwałtownie wysunęła się z jego ramion, a on nie protestował. Mierzyli się wzrokiem, oddychając ciężko. Belinda zdawała sobie sprawę, że jeśli Colin wykona

choć jeden ruch w jej stronę, nie będzie w stanie mu się oprzeć. Pragnęła go, a przynajmniej jej ciało, nad którym nie miała już kontroli.

Bez słowa odwróciła się i skierowała w stronę wyjścia.

- Będziesz mogła zabrać te obrazy do Downlands - usłyszała za sobą jego głos, w którym pobrzmiwała prośba.

- Cena jest zbyt wysoka - rzuciła przez ramię i wyszła.

TLR

ROZDZIAŁ PIĄTY

Belinda objęła wzrokiem Mayfair - elegancką, piękną siedzibę, która dla niej była przede wszystkim domem dzieciństwa. Miała wrażenie, że nic się nie zmieniło od czasu ostatniej wizyty, a jednak różnica była ogromna. To miejsce nie należało już do jej rodziny. Stryj Hugh nadal mógł tu urzędować, ale na warunkach dyktowanych mu przez markiza Easterbridge.

- Powiedz stryju, że to nieprawda - rzuciła Belinda błagalnym tonem, wchodząc do wypełnionej antykami i bogatym księgozbiorem biblioteki.

Gdy tylko dowiedziała się o sprzedaży, zarezerwowała najbliższy lot z Vegas do Nowego Jorku, a następnie do Londynu, odkładając na bok swoje sprawy związane z anulowaniem małżeństwa. Wiedziała, że powinna poczekać, aż pokojówka ją zaanonsuje, ale nie chciała czekać ani minuty dłużej. To była zbyt ważna sprawa, ważniejsza od konwenansów.

Stryj Hugh podniósł wzrok znad mahoniowego biurka.

- O czym mówisz, moja droga? - Uśmiechnął się niewyraźnie, z wysiłkiem. - Nie wiedziałem nawet, że jesteś w Londynie.

- Przyjechałam dziś rano - wyjaśniła pospiesznie. - Powiedz, że nie sprzedałeś Mayfair.

Stryj Hugh zmienił się na twarzy, jego czoło przecięła pionowa zmarszczka.

- Jak się dowiedziałas?

- A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

Stryj chrząknął parę razy, spuścił wzrok i podjął spokojnym głosem.

- Posłuchaj, nadal oficjalnie będę właścicielem Mayfair i Downlands. Nikt nie musi wiedzieć, że posiadłości zmieniły właściciela. Obiecano mi dyskrecję.

- Kto ci to obiecał? - wybuchła. - Jakiś rosyjski milioner? Myślisz, że to on jest nabywcą?

- O czym ty mówisz? A w ogóle to skąd to wszystko wiesz? Jeśli...

- Wpadłeś w pułapkę - przerwała mu. - Rzeczywistym nabywcą jest markiz Easterbridge.

Stryj przez chwilę patrzył na nią w osłupieniu, po czym oparł łokcie o blat biurka i ukrył twarz w dłoniach.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że masz problemy finansowe? - Patrzyła na pochyloną sylwetkę stryja z bólem i współczuciem.

- Przecież i tak nic byś nie mogła zrobić.

- Miałam prawo wiedzieć - upierała się.

Stryj westchnął, jakby dźwigał na barkach wielki ciężar.

- W ciągu ostatnich kilku lat nasze inwestycje nie przynosiły żadnych zysków, a ponadto niektórzy członkowie naszej rodziny żyli nieco ponad stan. Twoja matka...

Żadne z nich nie musiało mówić już nic więcej. Belinda знаła zamiłowanie matki do luksusu, która nigdy nie pracując, żyła z dochodów Wentworthów. Ona sama uzyskiwała niewielki procent z funduszu założonego przez dziadków i ojca. Gdy tylko się usamodzieliła, zarabiała na swoje potrzeby.

Popatrzyła na stryja, który zawsze był dla niej ostoją, drugim ojcem, a który teraz wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć lat i serce ścisnęło jej się z bólu.

- Jesteśmy zrujnowani - dorzucił Hugh słabym głosem.

I wtedy Belinda podjęła decyzję. Będzie musiała spróbować przekonać Colina do zmiany decyzji. Wiedziała, czego będzie oczekiwał w zamian, ale nie zamierzała się sprzedawać. Muszą być inne sposoby. Ktoś postronny mógłby nie zrozumieć, co to za poświęcenie, aby żyć z przystojnym, bogatym i seksownym mężczyzną. Ona jednak wiedziała, że sprawa nie była taka prosta.

- Niezupełnie - zaproponowała pewnym głosem.

- Co masz na myśli?

- Jestem przecież żoną Colina, przynajmniej na razie. Nie rozumiem, dlaczego, ale on chce byśmy nadal byli małżeństwem.

Twarz stryja pojaśniała, w jego oczach pojawiło się ożywienie. Podniósł się zza biurka.

- To jest to! - zawołał. - To jest nasza szansa. Musisz być nadal jego żoną.

Belinda zagryzła wargi. Odrzucała tę myśl, od kiedy opuściła Las Vegas.

- Powiedz mu, że się z nim nie rozwiedziesz pod warunkiem, że przepisze te posiadłości na ciebie.

- Co takiego? - Z wraźnia przysiadła na wyściełanym aksamitem krześle. Nie spodziewała się, że rozmowa obierze taki kierunek. Chciała zaproponować, że będzie negocjowała z Colinem, ale nie, że pozostanie jego żoną. - Przecież on nie jest głupi. Pomyśli, że w momencie, w którym przepisze na mnie akt własności, zaraz pobiegnę do adwokata, by się rozwieść i będzie miał rację.

- W takim razie negocjuj - oświadczył pewnie i położywszy dłonie na blacie biurka, nachylił się w jej stronę. - Na pewno coś wymyślisz. Dziecko drogie, w tobie jest ostatnia nasza nadzieja. Jeśli wyjdzie na jaw, że nasze majątki przejął Granville, stanemy się pośmiewiskiem. Nie zniosę tego upokorzenia. Nie zniosę, by mówiono, że ród Granville'ów pokonał ród Wentworthów.

Belinda czuła się zawiedziona. Nigdy nie spodziewała się, że stryj będzie ją namawiał do małżeństwa z Granville'em.

- Nie rozumiem, jaki interes będzie miał w tym Colin. Dlaczego chce, byśmy pozostali małżeństwem.

- Na to pytanie może odpowiedzieć tylko on. Cóż, jesteś atrakcyjną kobietą. Może chce zachować twarz przed ludźmi? W końcu, będąc jego żoną, o mało nie poślubiłaś innego mężczyzny. Może gdy przez jakiś czas będziecie żyć ze sobą, plotki ucichną.

Belinda nawet przez chwilę nie wierzyła, by Colin mógł się przejmować ludzkim gadaniem albo opiniami swoich arystokratycznych krewnych. Gdyby tak było, nie przerwałby jej ślubu, wywołując skandal. Czyżby w grę wchodziła jego urażona duma? Najprawdopodobniej. Odrzuciła go po ich nocy poślubnej, natychmiast od niego uciekła. Chodziło mu więc o zemstę? Tego nie wiedziała. Jednego natomiast była pewna. Dziedzictwo Wentworthów spoczywało w rękach Granville'ów.

Z rozmyślań wyrwał ją dźwięk telefonu komórkowego. Sięgnęła do torby i rzuciła okiem na wiadomość:

Spotkanie w Halstead Hall. DM

Belinda zmarszczyła brwi. Halstead Hall było posiadłością w Berkshire, należąca do rodu Easterbridge. Co za dziwna wiadomość, stwierdziła. Prośba czy rozkaz? Nie zna-

ła tego numeru telefonu, a inicjały nie wskazywały na Colina, chyba, że... DM - drogi mąż. Tak, to byłoby w jego stylu.

Podniosła się z krzesła, zarzuciła torbę na ramię i pożegnała się krótko ze stryjem. Czekala ją batalia nie tylko o majątek rodziny, ale także o własne szczęście.

Belinda przez całą drogę układała sobie w głowie to, co ma do powiedzenia Colinowi. Chciała zacząć dyplomatycznie, ale gdy zjawiła się na miejscu, wyrzuciła z siebie bez tchu:

- Pozostanę twoją żoną.

Colin stał przy kominku w salonie rezydencji Halstead Hall. Miał na sobie sweter i wełniane spodnie - typowy zestaw angielskiego gentelmana z prowincji.

Uniósł jedną brew, patrząc na Belindę.

- Pod pewnymi warunkami - dodała szybko, ogarniając wzrokiem wnętrze pokoju.

Pierwszy raz była w Halstead Hall, mimo że posiadłość graniczyła z ziemiami Wentworthów i w zasadzie te dwie rodziny były dla siebie najbliższymi sąsiadami. Dom, pochodzący z szesnastego wieku, prezentował się niezwykle okazale, a dzięki licznym wieżyczkom, portykom, łukowatym sklepieniom nad drzwiami przypominał nieco średniowieczne domiszcze z gotyckiej powieści. Wnętrze rezydencji było wyrazem dobrego gustu jego mieszkańców, ale przede wszystkim symbolicznym potwierdzeniem ich władzy i prestiżu. Całość urządzona była wedle najnowocześniejszych standardów z zachowaniem szacunku dla historii i majestatu tego miejsca.

Belinda zmartwiła się na myśl o pięknym, ale podupadłym Downlands, które od dawna wymagało modernizacji.

- To zrozumiałe, że będziesz miała jakieś warunki - odparł uprzejmie Colin. - Czy jednym z nich będzie prawdziwa ślubna uroczystość?

- Z całą pewnością nie. - Nie bawiło ją jego sardoniczne poczucie humoru. - Powiedziałam, że pozostanę twoją żoną, a nie, że jeszcze raz za ciebie wyjdę.

- A to jakaś różnica? - drażnił się, ciekaw, czy uda mu się ją sprowokować.

- Oczywiście, że tak. Wyobrażasz sobie nasze rodziny siedzące razem w kościele?

Wolałabym tego nie oglądać.

- Jakie więc są twoje warunki? - spytał.

- Chcę, żebyś przepisał posiadłości kupione od stryja na moje nazwisko.

Colin uśmiechnął się tylko, jakby wiedział, że przedstawi takie żądanie.

- Myślę, że to uczciwa propozycja - dodała szybko.

- Uczciwa? - zaśmiał się cicho. - Jak na kogoś, kto jest na dość słabej pozycji stawiasz śmiałe żądania. Zastanów się. Możesz mnie straszyć tylko próbą rozwiązania małżeństwa, ale wtedy już na pewno nie dostaniesz tego, czego chcesz. Co więcej, nawet gdybym przystał na twoje warunki, jaką mam pewność, że w chwili, gdy przepiszę na ciebie te posiadłości, nie wsiądziesz w pierwszy lepszy samolot lecący do Las Vegas i nie zaczniesz się starać o rozwód?

- Masz na to moje słowo.

Parsknął głośnym śmiechem.

- Nie wątpię w twoją uczciwość, ale spójrzmy prawdzie w oczy, jesteś jedną z Wentworthów.

- A ty jesteś Granville - powiedziała, jakby rzucała obelgę.

- I dlatego mamy problem - podsumował. - Proponuję kompromis.

Zaczyna się, pomyślała ze złością.

- Będę przepisywał posiadłości na ciebie rok po roku wedle ustalonego harmonogramu. Im dłużej będziemy małżeństwem, tym więcej dostaniesz po rozwodzie.

- Jedna posiadłość na pół roku - zaproponowała, patrząc mu prosto w oczy, zgrywając twardą negocjatorkę.

- Nie poddajesz się łatwo. - Kąciki jego ust drgały w uśmiechu.

- Przyjmujesz moje warunki?

Przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu.

- Jedna posiadłość na rok - powtórzył twardo. - Po dwóch latach Mayfair i Downlands będą należały do ciebie.

Otworzyła buzię, by zaprotestować.

Dwa lata? Wiedziała jednak, że to uczciwa propozycja.

- Zgoda - oświadczyła. Zawahała się, po czym spytała: - Powiedz mi, dlaczego to robisz? Na co liczysz?

Colin uśmiechnął się jak sfinks.

- Może liczę na to, że za dwa lata nie będziesz chciała się ze mną rozwieść - powiedział cicho, a po chwili dodał: - Pozycja markizy ma swoje zalety. Majątki ziemskie, samochody, podróże...

- Doświadczyłam już bogactwa w swoim życiu i nie potrzebuję więcej - odparła, wzruszając ramionami.

- Czym więc mógłbym cię jeszcze skusić?

- Jestem zdziwiona, że na początku listy pokus nie wymieniałeś siebie - rzuciła, unosząc wysoko głowę.

Colin roześmiał się, mile polechtany komplementem.

- No, dobrze, więc ja.

O dobry Boże! Skoro nie była w stanie mu się oprzeć trzy lata temu, jak zdoła zrobić to teraz, skoro będzie miała go tak blisko siebie. Nie powinna mu okazywać swoich uczuć. On nie może się dowiedzieć, jak bardzo jest bezbronna wobec jego magnetycznego spojrzenia, niskiego głosu i ciepłych dłoni.

- Było nam przecież razem dobrze - dodał po chwili, obserwując spod półprzykniętych powiek jej reakcję. - Przyznaj to.

- Nie byłam wtedy sobą...

- Ale chciałaś tego, nie zaprzeczaj - upierał się.

Dlaczego nie przyzna, że przeżyli razem coś niezwykłego, coś, co pamięta się do końca życia, pomyślał.

- Wypiłam o parę drinków za dużo - broniła się, choć słabła z każdą sekundą.

- Zaledwie jeden był niebezpieczny, nazywał się Kamikadze.

- Ta nazwa mówi wszystko. Nie zapominaj, że jeszcze był drugi drink pod nazwą Seks na Plaży.

- To było godzinę wcześniej, zanim my...

- Ale procenty nie zdążyły mi jeszcze wywietrzeć z głowy - odpowiedziała szybko.

- Nasz seks może nie był seksem na plaży, ale przypominał go. Zapach słońca i morskiej piany. Dopiero potem uzmysłowiłem sobie, że to był zapach twojej skóry.

- Nie przypominaj mi! - rzuciła ostrzegawczo.

Pod wpływem jego słów ogarniało ją coraz większe podniecenie.

Po tej nocy już nigdy nie użyła perfum, które miała wtedy. Budziły zbyt wiele wspomnień. Nie wiedziała, czy ma brać jego słowa poważnie, czy też zignorować.

- Dlaczego to wszystko robisz? - wybuchła nagle.

- Może bawi mnie robienie czegoś, czego nie zrobił jeszcze żaden Granville. Wiesz przecież, że lubię wyzwania.

- Jeden z twoich nikczemnych przodków uwiódł jedną z dziedziczek mojego rodu - przypomniała mu surowym głosem.

- Uwiódł? - zadrwił Colin ze śmiechem - Tak to nazwała? A przypadkiem nie ona straciła głowę dla niego, przystojnego młodzieńca, nim oburzona rodzina wywiozła ją Bóg wie gdzie? A potem zmusili ją, by poślubiła mężczyznę, którego nie kochała.

- To jest wersja Granville'ów - wydeła lekceważąco usta.

- Ten biedny chłopak oczywiście nie miał żadnych szans, by ją poślubić. Smutny koniec wielkiej miłości. Popatrz tylko, udało mi się to, co jeszcze nigdy nie udało się żadnemu Granville'owi.

Nagle Colin podniósł się i podszedł do maleńkiego, intarsjowanego sekretarzyka, pochodzącego prawdopodobnie, jak oszacowała szybko Belinda, z osiemnastego wieku. Z górnej szufladki wyjął niewielkie aksamitne pudełko, po czym wrócił na miejsce i podał jej, dotykając przy tym nieznacznie jej palców.

Belinda poczuła przeszywające prądy wzdłuż kręgosłupa i wstrzymała oddech. Wystarczyło, by ją ledwie musnął, a już traciła władzę nad reakcjami swojego ciała.

Skupiła uwagę na pudełku. Zciekawiona zajrzała do środka i otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Wewnątrz znajdowały się dwie złote obrączki. Jedna szersza, grawerowana na krawędziach, druga zaś mała z kobiecym wzorem.

Napotkała jego wzrok, który wyrażał prośbę oraz obietnicę.

- Daję ci to, żeby przypieczętować naszą umowę.

Belinda z napięciem obserwowała, jak podnosi większą obrączkę i wsuwa sobie na palec. Poczula, że zaschło jej w ustach, koniuszkiem języka zwilżyła wargi. Po chwili Colin ujął jej dłoń i powoli, z czułością założył mniejszą obrączkę na jej serdeczny palec.

Starła się zapanować nad drżeniem ciała. Wiedziała, dlaczego to robi i nie zamierzała dać po sobie poznać, jak wielką ma nad nią władzę.

Colin tymczasem podniósł jej dłoń do swych ust i nie spuszczał z niej wzroku, zaczął muskać wargami jej wnętrze. Belinda wciągnęła gwałtownie powietrze, gdy całował każdy palec po kolei, obserwując jednocześnie reakcję na tę niewinną pieszczotę. Czowała ciepło jego warg, ich erotyczną siłę, która rozbudzała w całym jej ciele chęć na więcej. Och, dlaczego on musi to robić? Skąd wie, jak skruszyć w niej mur chłodu? Colin z pewnością był mistrzem w uwodzeniu, ale ona nie miała zamiaru dać sobą manipulować. Już wystarczy, że stryj wystawił ją na sprzedaż dla dobra rodziny.

Colin odsunął się i podjął zwykłym tonem.

- Jeśli wolałabyś inne obrączki, możemy je wymienić. Oczywiście możesz też do woli korzystać z rodowych klejnotów.

- Te są w porządku - bąknęła, zaciskając palce w pięść.

- Potrzebujesz także porządnego pierścionka zaręczynowego.

- Dziwię się, że jeszcze go nie kupiłeś. To dzisiejsze spotkanie nosi znamiona jakiegoś rytualnego podboju, udanego zresztą, bo wychodzisz zwycięsko z łupem.

Ku jej zaskoczeniu Colin, zamiast, jak to miał w zwyczaju, skomentować to drwiącym uśmiechem, zmarszczył brwi i spoważniał.

- Tak to odbierasz? Sądzisz, że jesteś moim łupem czy też branką? Widzę tu analogię do mitu o Helenie Trojańskiej.

- Tylko że ty nie posiadasz tysiąca okrętów jak starożytni władcy.

- Będę musiał o tym pomyśleć - zaśmiał się.

Kiedy pochylił się, by ją pocałować, cofnęła się gwałtownie.

- Potrzebuję trochę czasu...

W tym momencie otworzyły się szeroko drzwi do salonu i pojawił się w nich lokaj, anonsując monotonnym, ale donośnym głosem:

- Starsza markiza Easterbridge, jaśnie panie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Colin przewrócił oczami. Jego matka w wolnym czasie bardzo często wpadała do Halstead Hall, ale nie zdarzyło się, by przedtem nie skorzystała ze zdobyczy dwudziestego pierwszego wieku i nie napisała mejla lub esemesa, aby zapowiedzieć swoje przybycie.

Gdy spojrział na Belinę, skonstatował, że ona jest równie zaskoczona tą wizytą.

- Colin, co to ma znaczyć? - zawołała od progu jego matka. - Starsza? Zechciej łaskawie poinstruować swoją służbę, że jestem jedyną markizą Easterbridge.

Przerwała soczystą przemowę w momencie, gdy jej oczy spoczęły na kobiecej postaci.

Colin zrobił krok do przodu.

- Mamo, poznaj moją żonę, Belinę - rzekł, zręcznie unikając podawania nazwiska i tytułów.

Matka od tej pory miała być zaledwie starszą markizą, na korzyść jego żony, która nosiła tytuł markizy Easterbridge. Jedno słowo, a miało duże znaczenie.

- Myślałam, że w końcu zmądrzejesz i znajdziesz sobie odpowiednią żonę - odparła wyniośle starsza markiza, z niesmakiem spoglądając na swoją synową, zupełnie jakby patrzyła na insekta, którego należy się pozbyć.

- Belinda jest odpowiednia, mamo - powiedział spokojnie.

- Jest jedną z Wentworthów - rzuciła z niesmakiem.

- No cóż, nie da się ukryć, tym bardziej że moja żona postanowiła zachować swoje nazwisko.

- Miło mi panią widzieć - odezwała się Belinda zgodnie z zasadami dobrego wychowania.

Matka Colina zdawała się jednak nie dostrzegać wysiłków synowej, bo zrobiła kwaśną minę, jakby połknęła sok z cytryny.

- Pani syn ma rację - mówiła dalej Belinda, świadoma, że Colin ją obserwuje. - Postanowiłam nie zmieniać nazwiska. Myślę, że dla wszystkich będzie zręczniejsze, jeśli pani pozostanie Lady Granville, a ja Lady Wentworth.

Starsza dama obrzuciła ją wyniosłym spojrzeniem. Cała w jedwabiach, tiulach i perłach przypominała surową monarchinię.

- Ale to ty będziesz pierwszą markizą Easterbridge, czyż nie? - zapytała z wyrzutem.

Colin starał się nie zauważać zbolalej miny matki. Nie cierpiał, gdy kobiety próbowały nim manipulować, wysuwając ciężki arsenał łez, dąsów i smutnych spojrzeń, a jego matka opanowała tę sztukę do perfekcji.

- Jestem pewien, mamó - zaczął, chcąc odwrócić jej uwagę - że pomożesz Belindzie, aby czuła się dobrze w naszym domu.

Celowo położył nacisk na słowo „nasz”. Od teraz ten dom należał także do Belindy i jego matka musi przyjąć to do wiadomości.

- Ja przecież pracuję w Nowym Jorku - stwierdziła nieco nerwowo Belinda, odwracając się w stronę Colina. - Jak więc mogę tam pracować, a tu mieszkać?

- Właśnie - przyłączyła się zgodnie Lady Granville. - Wyjaśnij nam to, mój drogi.

- Możesz przenieść się do filii działającej w Anglii - zwrócił się do żony. - W ciągu tygodnia będziemy mieszkać w Londynie, a na weekendy przyjeżdżać tutaj.

Belinda starała się ze wszystkich sił nie okazać złości ani zniecierpliwienia, zwłaszcza w obecności takiej damy jak Lady Granville.

- No, nie wiem, czy to będzie takie proste. Będziemy musieli to jeszcze przedyskutować - oznajmiła dyplomatycznie.

- Masz zamiar nadal pracować? - spytała matka Colina, tonem głosu dając do zrozumienia, co o tym myśli.

- Tak - odparła z niewinną minką. - Przynajmniej do czasu, nim nie dostanę posiadłości, które zgodnie z umową mają należeć do mnie.

Colin o mało nie parsknął śmiechem. Belinda nie powinna była drażnić jego matki, ale musiał przyznać, że robiła to w wyjątkowo inteligentny sposób.

Oczy Lady Granville miały skry.

- Wiedziałam, że Wentworthowie są pazerni na pieniądze - podsumowała, jakby stwierdzała fakt oczywisty, niepodlegający dyskusji. Patrzyła to na synową, to na syna, aż wreszcie wydukała, przez zaciśnięte wargi. - Oczekuję was na kolacji, Colin.

Gdy wyszła, postukując obcasami i szeleszcząc koronkami, na krótką chwilę w pokoju zaległa cisza.

- Nie było tak źle - zaśmiał się Colin.

Belinda posłała mu ironiczne spojrzenie i pokręciła głową z dezaprobatą.

- Ciekawe czy powiesz tak po kolacji.

Kolacja była trudnym doświadczeniem dla wszystkich. Colin obserwował swoją siostrę, skoncentrowaną na zawartości talerza i przeżuwanium, jakby w ten sposób chciała przyspieszyć koniec tego mało fortunnego spotkania. Młodsza od niego o osiem lat była bardziej rówieśniczką Belindy niż jego.

Choć na kolacji była tylko ich czwórka, Lady Granville życzyła sobie, by posiłki podać w głównym salonie, prawdopodobnie dlatego, aby nadać temu wydarzeniu odpowiednią rangę. W ten sposób przy wielkim, pochodzącym z czasów królowej Wiktorii stole, stało wiele samotnych krzeseł.

Colin usiadł u szczytu stołu, Belinda po prawej stronie, zaś Lady Granville po lewej. Rozmowa od początku sprowadzała się do zdawkowych uwag, prostych pytań i krótkich odpowiedzi. Colin widział, jak matka ignoruje Belinę i pospieszył w sukurs.

- Sophie - zwrócił się do siostry. - Myślę, że mogłybyście się z Belindą lepiej poznać. Macie ze sobą wiele wspólnego.

Siostra rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, a potem zerknęła na matkę, próbując po mimice twarzy przewidzieć jej reakcję. Colin widział to i pomyślał, że Sophie trudno będzie wyrwać się spod wpływu dominującej Lady Granville. Była młodsza od niego i mniej odporna na manipulacje matki, która pokładała w swej jedynej córce wszystkie nadzieje.

- Widywałyśmy się czasami z Belindą przy okazji różnych społecznych prac - zaczęła ostrożnie. - Rzadko kiedy jednak ze sobą rozmawiałyśmy...

Oczywiście wiadomo dlaczego. Spór Granville'ów z Wentworthami, choć zaczął się ponad sto lat temu, przechodził na coraz młodsze pokolenia, uniemożliwiając zawieranie bliższych znajomości.

- Moja siostra jest grafikiem. Interesuje się sztuką, podobnie jak ty - rzekł Colin. - Teraz pracuje nad projektem inspirowanym dziełami wielkich artystów.

- Właściwie teraz moje prace wzoruję na japońskiej sztuce - uzupełniła Sophie. - Kilka razy byłam w Japonii.

- Ja też byłam tam w sprawach służbowych. Uważam, że to wspaniały kraj.

Sophie pokiwała głową i... rozmowa utknęła w martwym punkcie. Colin uznał, że dopóki matka siedzi przy stole, na nic się zdadzą jego starania o miłą i przyjazną konwersację. W milczeniu obserwował swoją żonę. Jej ciemne włosy spływały na ramiona i piersi. Usta, różowe i pełne, rozchyliły się lekko, ukazując białe, równe zęby. Miękką linię policzka i brody podkreślało przytłumione światło z płonącego kominka. Pragnął jej. Trzy lata temu przeżyli razem niezapomnianą noc i chciał, by się powtórzyła. Nie powinna od niego uciekać. Nie powinna była rzucać się w ramiona innego mężczyzny. Tod Dillingham nie był dla niej. Być może dawał jej poczucie bezpieczeństwa, ale nic poza tym. On mógł jej dać więcej niż którykolwiek mężczyzna. Gdyby tylko zechciała się na niego otworzyć.

- Ja i Belinda zostaliśmy zaproszeni na ślub księcia Hawkshire z Pią Lumley - powiedział Colin, zwracając się do matki. - To będzie nasze pierwsze oficjalne wyjście jako pary.

Belinda pomyślała, jak wiele się zmieniło w przeciągu ostatnich miesięcy. Romantyczna Pia na nowo odnalazła szczęście z Jamesem „Hawkiem”, a Tamara uległa uczuciu do hrabiego Melton. Tylko ona wciąż tkwiła w dziwnym układzie. Widziała, jak Colin się stara, chcąc rozluźnić atmosferę przy stole, ale lady Granville najwyraźniej nie zamierzała niczego ułatwiać. Cóż, powinna była przewidzieć, że nie będzie mile widzianą synową. Gdyby to od niej zależało, już dawno byłoby po rozwodzie.

Colin miał jednak wobec niej inne plany.

- O Boże, zrobiłaś to. - Stryj Hugh uśmiechnął się z zadowoleniem i rozparł wygodnie na skórzanym fotelu, trzymając w dłoni kieliszek koniaku.

Belinda patrzyła na niego, siedząc na sofie w Mayfair obok swojej matki, która elegancko ubrana popijała herbatę.

- Mam nadzieję, że jesteś usatysfakcjonowany - odparła.

Kiedy dwa dni temu pojawiła się w Halstead Hall, żeby spotkać się z Colinem, dostała swój własny pokój, w którym mogła ukryć się przed zakusami niechcianego męża, co z resztą nie było znów takie trudne, skoro w domu przebywała też jego matka i siostra. Następnego ranka wyjaśniła, że musi udać się do Londynu, a także być może do Nowego Jorku, aby pozatwierać wszystkie sprawy. Colin nie wyglądał na zachwyconego, że wyjeżdża, ale przystał na to, zwłaszcza że on sam również miał swoje pilne zadania do wykonania. Belinda nie miała złudzeń co do podjętej przez niego gry w kotka i myszkę. Zdawała sobie sprawę, że zrobi wszystko, by ją uwieść, choćby po to, by cieszyć się z samego faktu wygranej.

- Kiedy pytałam się cię, jak zamierzasz poradzić sobie z tym skandalem - zwróciła się do niej matka - nie spodziewałam się, że zechcesz kontynuować małżeństwo z tym podłym Easterbridge'em.

- A czego się spodziewałaś, mamó? - wypaliła Belinda, nie kryjąc zdenerwowania.

Była przekonana, że matka będzie zachwycona.

Stryj Hugh w każdym razie był. Ale po prawdzie to stryj odpowiadał za rachunki i finanse i rozumiał, że takie rozwiązanie dla rodziny będzie najlepsze.

- Nie krytykuję twojej decyzji, ale jak będzie teraz wyglądało twoje życie? - dopytywała matka z zatroskaną miną.

No właśnie! Jak? To samo pytanie zadawała sobie Belinda bez przerwy, odkąd zgodziła się pozostać żoną Colina. Zagryzła lekko górną wargę. A co, jeśli zajdzie w nim w ciążę? Mogła sobie tylko wyobrazić, co powiedziałyby ich rodziny o pomysle połączenia tych dwóch krwi w jedną i jakie życie miałyby dziecko między dwoma nienawidzącymi się rodami. Nie, ona i Colin mają umowę i gdy nadejdzie czas, każde z nich pójdzie w swoją stronę, nie ma więc mowy o żadnym dziecku. Miała trzydzieści trzy lata, za dwa lata będzie jeszcze wystarczająco czasu, aby rozpocząć własne życie. Nie rozumiała, dlaczego Colin miał nadzieję, że po dwóch latach nie będzie chciała już rozvodu.

Tymczasem jej matka wymieniła spojrzenie ze stryjem, po czym zaczęła nieśmiało:

- Może... może chciałabyś się spotkać z Todem i porozmawiać z nim o swojej sytuacji?

Belinda oniemiała.

- Niby po co?

- Widzisz, kochanie, może nie trzeba palić za sobą wszystkich mostów - podjęła ostrożnie. - W końcu pewnego dnia znów będziesz wolną kobietą.

Belinda zaniemówiła. To ona tu rozmyśla o możliwości posiadania dziecka z Colinem, a matka już szuka jej kolejnego męża.

- Wiesz, moje dziecko - włączył się Hugh - że nie będę żył wiecznie. Tod byłby dla ciebie dobrym mężem i odpowiednim opiekunem naszych rodowych majątków.

- Przypominam, że owe rodowe majątki są jeszcze w rękach Granville'ów - powiedziała Belinda. - A poza tym Tod to już zamknięty rozdział.

Wyglądała na rozdrażnioną, co nie uszło uwagi jej matki.

- No, nie dąsaj się. Twój stryj i ja chcemy dla ciebie jak najlepiej.

- Czyżby? - Belinda podniosła się z sofy, opierając dłonie na biodrach. - To dla czego mnie poświęćcie dla rodzinnej fortuny?

Miała dość tej rozmowy, dość pouczeń i wymagań. Nie była już małą dziewczynką, tylko dorosłą kobietą i nie zamierzała poddawać się presji stryja i matki. Nawet męża chcieli jej narzucić. Nie miała nic przeciwko Todowi, w końcu przecież dobrowolnie zgodziła się zostać jego żoną, ale wiedziała, że teraz wszystko już między nimi skończone. Potrzebowała męża, kochanka i ojca dla swoich dzieci, a nie administratora rodzinnych włości.

- Do widzenia - rzuciła zdawkowo w stronę matki oraz stryja i opuściła bibliotekę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Belinda wzruszyła się na widok Pii w białej sukni, sunącej z gracją w stronę ołtarza. Przyjaciółka wyglądała pięknie w ślubnym stroju z bukietem czerwonych róż w dłoniach. Delikatna i migocząca tiara wspaniale dopełniała całości. To był prezent ślubny od narzeczonego Pii, Hawka.

Gdy przyjaciółka podeszła na miejsce, odebrała od niej bukiet róż i stanęła krok za nią, obok drużby pana młodego, Colina. Tamara również miała być świadkiem na ślubie, ale ponieważ była już w zaawansowanej ciąży, zrezygnowała z tego zaszczytu, tak więc Belinda samotnie pełniła obowiązki druhny.

Pia posłała jej promienny uśmiech i zwróciła się w stronę pastora. Belinda szczerze cieszyła się szczęściem przyjaciółki, tym bardziej że jeszcze rok temu nic nie wskazywało na to, by miłosna historia Pii miała mieć szczęśliwy finał. Na szczęście stało się inaczej. Przyjaciółka przekonywała ją, że w przypadku jej i Colina będzie podobnie, ale ona nie miała złudzeń. Nie była Julią, a Colin nie przypominał Romea, chociaż ich rodziny żarły się ze sobą zupełnie tak jak te z tragedii Szekspira.

Belinda słuchała w skupieniu słów pastora, a kiedy przyszła chwila, by państwo młodzi złożyli sobie przysięgę, jej wzrok spoczął na twarzy Colina.

- Czy bierzesz sobie tę kobietę za żonę...?

Twarz Colina nie zdradzała żadnych emocji, ale gdy spojrzał na nią, dostrzegła w jego oczach wzruszenie.

- Czy przyrzekasz kochać ją, szanować, wspierać w zdrowiu i chorobie, bogactwie i biedzie, dopóki was śmierć nie rozłączy?

Belinda spuściła wzrok, czując na sobie spojrzenie Colina. Doskonale pamiętała ich własną ceremonię ślubną sprzed trzech lat. Tylko ich dwoje, ona w czerwonej sukience, podekscytowana i niecierpliwa, by wreszcie skonsumować to niespodziewane małżeństwo.

- Czy bierzesz sobie tego mężczyznę za męża...? - Monotonny głos pastora wibrował jej w głowie. - Czy przyrzekasz kochać go, szanować, wspierać, w zdrowiu i chorobie, bogactwie i biedzie, dopóki was śmierć nie rozłączy?

Pia zdecydowała się uwspółcześnić nieco słowa przysięgi i ominąć przyrzeczenie o posłuszeństwie względem męża. Belinda kątem oka dostrzegła, że Colin się uśmiecha. Czyżby pamiętał, że ona również ominęła to przyrzeczenie? Całe szczęście, że to zrobiła, bo już następnego ranka dała wyraz swojej niezależności, uciekając od niego. Ślubował jej miłość, ale wcale tak nie myślał. Znali się zbyt krótko i tylko pod wpływem chwilowego kaprysu zostali małżeństwem. Cudownie by było, gdyby ktoś przyrzekł jej szczerze miłość. Nie miała okazji tego sprawdzić z Todem, gdyż ich ślub został przerwany, a z Colinem...

Poczuła napływające łzy do oczu, ale to przecież nic niezwykłego płakać na ślubie. W razie czego może powiedzieć, że to pod wpływem wzruszającej chwili, nikt, a już zwłaszcza Colin, nie musi wiedzieć, że to wspomnienia z Las Vegas są przyczyną jej łez.

Potem, podczas przyjęcia w Silderly Park, odszukała Pię i raz jeszcze uściśniła mocno. Tamara także podeszła do przyjaciółek.

- Dołączyłabym się do uścisków, gdyby nie mój brzuch wielkości piłki do kosza - zawołała wesoło.

- Tak się cieszę z twojego szczęścia, Pia - powiedziała Belinda, po czym zwróciła się do Tamary. - I z twojego też. Wyglądasz wspaniale.

- To pewnie dlatego, że już nie męczą mnie poranne mdłości - odparła z uśmiechem. - Pia, czy od dziś mamy się do ciebie zwracać: księżno?

- Wystarczy: jaśnie pani - zażartowała.

Belinda była naprawdę szczęśliwa, że Pia i Tamara znalazły szczęście w ramionach przyjaciół Colina, księcia Hawkshire i hrabiego Melton. Pia przed laty zakochała się w Jamesie i doświadczyła bólu odrzucenia, na szczęście dała ukochanemu drugą szansę. Tamara, w przeciwieństwie do niej, wyszła za mąż z rozsądku, ale bardzo szybko zakochała się we własnym mężu. Belinda wątpiła, by jej historia z Colinem zakończyła się równie pomyślnie.

Pia, zupełnie jakby czytała w jej myślach, zapytała konspiracyjnym szeptem.

- A jak się układają twoje sprawy z Easterbridge'em?

- To dzień twojego ślubu - zaprotestowała Belinda. - Nie mówmy o mnie.

- Nie daj się prosić - przyłączyła się Tamara.

Obydwie przyjaciółki patrzyły na nią wyczekująco.

- No dobrze - westchnęła. - Zatem chciałam was poinformować, że nie unieważniam swojego małżeństwa z Colinem.

Pia klasnęła w dłonie i wydała okrzyk radości.

- Och, jak cudownie, to wspaniała nowina. Cieszę się, że postanowiliście raz jeszcze spróbować.

Tamara, w przeciwieństwie do przyjaciółki, miała dość sceptyczną minę.

- Nie jestem taka pewna, Pio. Belinda wcale nie wygląda na uszczęśliwioną i wydaje mi się, że o czymś nam nie mówi.

- Czy to prawda? - Pia zwróciła się do Belindy.

- Ostrzegałam was, że to nie jest odpowiedni temat w dniu twojego ślubu.

- Miałam więc rację - mruknęła Tamara.

- Chciałaś jak najszybciej zakończyć to małżeństwo, ale się wycofałaś. Dlaczego? Co takiego zrobił Easterbridge?

- Colin jest teraz dumnym właścicielem domu rodzinnego Wentworthów, jak również starej posiadłości w Berkshire.

Pia bezwiednie zakryła usta dłonią, zaś Tamara pokręciła głową z dezaprobatą.

- Stryj Hugh był przekonany, że sprzedaje majątek jakiemuś zagranicznemu milionerowi, a tymczasem kupił je Colin. Oczywiście to wielka tajemnica, nikt nie może się o tym dowiedzieć.

- Oczywiście - odparła Pia. - Zapytałam cię o Colina dlatego, że dziś rano w plotkarskiej kolumnie naszej ulubionej pani Hollings pojawiła się wiadomość, że wprowadziłaś się do Halstead Hall i że zamierzasz ratować swoje małżeństwo. Dlaczego sama mi o tym nie powiedziałaś?

- Nie chciałam ci zawracać głowy przed twoim ślubem, a ty, Tamaro spodziewasz się dziecka i masz swoje sprawy.

Belinda nie miała pojęcia, jak pani Hollings dowiedziała się o jej pobycie w Halstead Hall. Wyglądało na to, że ta kobieta wszędzie miała swoich szpiegów. Najwyraźniej ktoś doniósł, że tydzień temu widziano ją, jak z walizką wchodzi do rezydencji Gra-

nville'ów. Chcąc nie chcąc, zgodziła się być żoną Colina przez następne dwa lata i prędzej czy później informacja o ich zejściu się musiała trafić do prasy. Wiedziała, że jej małżeństwo będzie przedmiotem spekulacji i plotek zarówno w Londynie, jak i w Nowym Jorku.

- Co ta Hollings napisała w swoim artykule? - spytała.

Tamara wyciągnęła telefon komórkowy z małej, wizytowej torebki. Przez chwilę stuknęła w kolejne przyciski, marszcząc czoło, aż wreszcie zwróciła się do Belindy.

- Masz, czytaj.

Wiarygodne źródła donoszą, że panna Belinda Wentworth wprowadziła się do pewnego markiza, zajmującego uroczą posiadłość Halstead Hall w Berkshire.

Czyżby miłość wybuchła na nowo...?

Belinda odwróciła wzrok i oddała telefon Tamarze.

- Czy nie można w jakiś sposób powstrzymać tej Hollings przed wypisywaniem podobnych bzdur?

„Czyżby miłość wybuchła na nowo?” Nawet nie spała z Colinem. Jeszcze nie. Dopiero co wróciła z Nowego Jorku do Anglii, prosto na ślub Pii.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała Tamara.

Belinda wzruszyła ramionami.

- A co ja mogę zrobić? Nic. Nie będzie ani rozwodu, ani anulowania małżeństwa.

- I to wszystko? Tak po prostu z nim zostaniesz, dopóki was śmierć nie rozłączy?

- Co to, to nie! - zaprzeczyła gorąco. - Mamy z Colinem umowę. Będziemy małżeństwem dwa lata. Po dwóch latach będę mogła odejść, a wraz ze mną dwa rodowe majątki rodziny Wentworth.

Tym razem jej adwokat dopilnował każdego szczegółu, przecinka, kropki i ze spokojem mogła podpisać dokumenty.

- A mnie się wydaje, że mimo wszystko Colinowi musi na tobie zależeć, bo po co by aranżował to wszystko? Dlaczego chce, byś była jego żoną? W tym musi coś być - przekonywała romantycznie usposobiona Pia.

- Szczerze wątpię.

- Zostaniesz z Easterbridge'em tylko do czasu, aż dostaniesz te dwie posiadłości, czy tak? - upewniała się Tamara.

- Tak, właśnie tak - pokiwała głową.

- W takim razie proszę cię, bądź ostrożna. Może się okazać, że to jest zwykły podstęp. Coś o tym wiem.

Belinda domyślała się, że Tamara wciąż ma w pamięci tę chwilę, gdy jej przyszły mąż zaproponował im pewien układ.

- Nie martw się, poradzę sobie - odparła spokojnie.

- Jesteście małżeństwem, więc jedyne, co może wam się jeszcze przytrafić to...

- Nic się nie przytrafi - dokończyła Belinda, demonstrując niezachwianą pewność siebie.

Podczas przyjęcia Colin nie odrywał wzroku od swojej żony. Stał w rogu sali balowej, z kieliszkiem wina w dłoni i wciąż wypatrywał Belindy, która pochłonięta była rozmową z jakąś hrabiną. Zaproszeni goście zaczęli powoli zapełniać parkiet, dając się ponieść rytmicznemu dźwiękowi muzyki. Niektórzy woleli jednak tak jak on sączyć drinki.

Belinda wyglądała olśniewająco w dopasowanej szkarłatnej sukni z satyny i rubinowo-diaamentowej kolii. Na włosach połyskiwał delikatny diadem upleciony we florystyczny wzór. Biżuterię podarował jej tego ranka w hotelu, w którym spotkali się, by razem pojechać na ślub. Zachowywał się poprawnie i uprzejmie, choć miotало nim silne pragnienie, by mieć ją znów, tak jak kiedyś w Las Vegas. Tym razem jednak nie mogła by już od niego uciec.

Odstawił kieliszek na tacę przechodzącego obok kelnera i skierował swe kroki prosto do żony.

- Jak się bawisz, kochanie? - Nim zdążyła się odsunąć, pocałował ją lekko w policzek.

Hiszpańska hrabina uśmiechnęła się do nich z wyrozumiałością.

- Colin, pozwól, że ci przedstawię...

- Miałem już ten zaszczyt - przerwał jej uprzejmym głosem. - Cieszę się, że mogę panią znów widzieć, hrabino.

- I z wzajemnością, markizie.

Ujął Belinę za łokieć.

- Czy pozwoli pani, że porwę swoją piękną małżonkę do tańca?

- Och, ale... - Belinda próbowała protestować, ale wiedziała, że jeśli nie chce zrobić sceny, musi się poddać.

Colin pociągnął ją na parkiet i odwrócił twarzą do siebie.

- Mam nadzieję, że potrafisz tańczyć walca?

- Tak - odparła, lekko marszcząc nos. - Byłam zmuszona chodzić na lekcje tańca jako nastolatka.

- W takim razie będę mógł zobaczyć rezultaty. Dobrych manier też cię uczono, prawda? Są doskonałe, zwłaszcza wobec mnie.

- Daruj sobie ten sarkazm - mruknęła, chowając głowę na jego ramieniu.

Położył dłoń na jej talii i mocniej przygarnął do siebie. Mogła niemal czuć ciepło ciała Colina. Próbowała zebrać myśli i powiedzieć coś obojętnego, cokolwiek, byle tylko przerwać ciszę między nimi.

- Tylko taka romantyczka jak Pia mogła zażyczyć sobie walca na swoim weselu.

- Z korzyścią dla mnie.

Gdy popłynęły pierwsze takty walca *Fale Dunaju*, zaczęli wirować wkoło, mijając się z innymi parami. Colin, trzymając Belinę pewnie w ramionach, wciąż patrzył jej w oczy. Zauważył, że są bardziej koloru bursztynu niż malachitowej zieleni, jak kiedyś sądził. Odzwierciedlały wszystkie jej emocje, z czego najprawdopodobniej nie byłaby zadowolona, ale dla takiego gracza jak on było to fascynujące i podniecające. W tym momencie jej oczy wyrażały niepokój wywołany jego bliskością, mimo że z całej siły starała się to ukryć.

- Nie patrz tak na mnie - szepnęła.

- Trzeba było nie zakładać tej czerwonej sukni.

- Suknia nie zwraca tak uwagi jak biżuteria od ciebie.

Roześmiał się cicho, gardłowo.

- Chciałem sprawić ci przyjemność.

- Raczej włożyć mi na szyję obrożę.

Znów się uśmiechnął i nie zaprzeczył.

- Mógłbyś przestać gapić się na moje piersi? - fuknęła.

Celowo patrzył w dół, aby się z nią trochę podrażnić.

- Przepięknie wygląda ta rubinowa kolia na twojej kremowojasnej skórze. Taki właśnie obraz miałem przed oczami, gdy wyciągałem naszyjnik i diadem z rodzinnego sejfu. Jednakże kolczyki są nowe. Kupiłem je w tym tygodniu u Gerrarda.

Belinda nie bardzo wiedziała, jak powinna się zachować. Czy powinna pogniewać się za te frywolne żarty, podziękować za piękny prezent, czy może po prostu przestać się przed nim bronić.

Gdy romantyczny, pełen wiedeńskiego czaru walc dobiegł końca, Colin nie pozwolił jej wysunąć się ze swoich ramion, przytrzymując za rękę.

- Chodź ze mną do ogrodu.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Dlaczego? Jest zimno na zewnątrz.

- Ale nie w oranżerii.

- Nie wiem, czy...

- Mieliśmy dziś wszystkich przekonać, że naprawdę postanowiliśmy ratować nasze małżeństwo - przypomniał jej. - A poza tym strasznie tu gorąco, powinniśmy zaczerpnąć świeżego powietrza, nie sądzisz?

- Dobrze, wyjdę z tobą - powiedziała z rezygnacją.

Przeszli przez całą długość sali balowej, kierując się w stronę drzwi na taras, oświetlony rzęsiście lampionami. Stamtąd było już tylko kilka kroków do oranżerii. Jak się okazało, nie byli jedynymi gośćmi, przechadzali się więc, podziwiając egzotyczne rośliny. Drzwi od oranżerii zamykały się i otwierały, aż wreszcie Colin spostrzegł, że zostali sami, z wyjątkiem jednej pary po drugiej stronie szklanego pomieszczenia.

- Zdaje się, że ogrodnik Hawka chce stworzyć nowy gatunek róż - zauważyła Belinda, wskazując ręką na jeden ze stolików, wypełniony narzędziami ogrodniczymi oraz sadzonkami rozwijającymi się pod szklanymi słojami.

- Nie zdziwiłbym się. Max, mój ogrodnik, próbuje zrobić to samo w Halstead Hall.

Belinda rzuciła mu krótkie spojrzenie spod długich ciemnych rzęs. W powietrzu unosił się słodki zapach róż. Było ciepło, cicho, zmysłowo. Colin, nie przypuszczał, że oranżeria może być tak podniecającym miejscem. Wyciągnął dłoń i jakby na próbę zaledwie koniuszkiem palca musnął ramię Belindy. Nie patrzyła na niego, ale wyczuł jej napięcie. Zbliżył się, zamknął ją w swoich objęciach i pochylił do szyi, wciągając głęboko powietrze.

- Co robisz? - zawołała przyciszonym szeptem.

- A jak myślisz? Próbuję zapamiętać twój zapach.

- Nie jesteśmy tu sami. Tam stoją jacyś ludzie - upomniała go.

- Och, z pewnością nie będą zdziwieni, że pośród tych wszystkich kwiatowych woni pragnę poczuć zapach swojej dystyngowanej żony.

- Mogą to źle zrozumieć.

- A to już nie moja wina.

Drzwi oranżerii znów się otworzyły i tym razem zostali już naprawdę sami. Colin nie cofnął się, tylko pozwolił swoim dłoniom pieścić ciepłe i aksamitnie gładkie ramiona Belindy. Krew dudniła mu w żyłach, napieniając ciało życiodajnym pragnieniem posiadania drugiego człowieka. Nieznacznie zbliżył się do jej szyi, ogrzewając ją ciepłym oddechem.

Belinda próbowała zachować trzeźwość myślenia, ale słabła wobec intensywności doznań.

- Nie sądzę, byś mógł poczuć mój zapach wśród tych wszystkich kwitnących kwiatów.

- Tiger Lily - oświadczył, podnosząc głowę. - Mydło albo żel pod prysznic, lub balsam do ciała.

Zaskoczył ją.

- Jak to odgadłeś?

- To bardzo intensywny zapach... I szczerze mówiąc, zauważyłem w hotelu, w twojej kosmetyczce kilka produktów tej właśnie marki.

- Ach tak.

- Wiem już, jak pachniesz, ale nie wiem, jak smakujesz. Chyba jest tylko jeden sposób, by się przekonać.

Nim zdążyła zareagować, objął ją mocno i odszukał usta. Jego język wsunął się między jej wargi, dopraszając się wzajemności w tym tańcu zmysłów. Belinda powoli odprężała się w jego ramionach, choć nadal biernie przyjmowała pocałunek, podczas gdy on czekał na silniejszą reakcję. Wiedział, że potrafi się cudownie całować, o czym miał okazję przekonać się w Las Vegas, zmobilizował więc wszystkie siły, aby dała mu to, czego pragnął. Przesunął dłonie po jej plecach, na dół, wyczuwając kształty pod suknią. Belinda przez chwilę napięła ciało, po czym westchnęła z zadowolenia.

Ogarniała go coraz większa pokusa, by posunąć się dalej, ale wiedział, że nie może tak po prostu ściągnąć jej na podłogę i kochać się w oranżerii. Zerknął na drzwi. Przecież mógł je zamknąć na klucz...

Prawą dłonią rozpiął zapięcie sukienki i uwolnił jej ramiona z jedwabnego materiału. Belinda miała rozchylone wargi i półprzymknięte oczy. Sutki jej piersi stwardniały, ocierając się o jego tors. Colin pochylił się i zamknął jeden z nich w swych ustach. Pod Belindą ugięły się kolana i o mało nie pociągnęła ich obojga na podłogę. Właśnie wtedy usłyszeli trzaśnięcie drzwi i zaraz po tym czyjeś głosy. Na skórze poczuli powiew zimnego powietrza z dworu.

Belinda odepchnęła od siebie mężczyznę, naciągając na ramiona sukienkę. Colin był wściekły, że jednak nie zamknął drzwi na klucz, póki miał jeszcze szansę.

- Nie możemy tego tu robić - wyszeptała.

- Zgadzam się z tobą. Nie jesteśmy tu już sami - przyznał.

- Nie dlatego. Nasza umowa małżeńska nie została jeszcze podpisana.

- I na to czekasz?

- Oboje na to czekamy.

Colin prychnął rozeźlony. A więc zamierzała trzymać go z daleka od siebie, dopóki nie podpiszą umowy. Do diabła, zabolalo go to.

- Chcę stąd wyjść. - Belinda rozglądała się wokół nerwowo, jakby znalazła się w pułapce.

Uśmiechnął się złośliwie.

O tak! On też chciał stąd wyjść i zabrać ją tam, gdzie będą mogli dokończyć to, co zaczęli, nieważne, z umową czy bez.

- Prędzej czy później i tak wylądujesz w moim łóżku - syknął.

Zastygła w bezruchu, po czym cofnęła się gwałtownie.

- Być może, ale teraz chcę wyjść.

Wyminęła go i podążyła do drzwi, a on poszedł za nią. Wiedział, że go pragnie, mimo że nosił nazwisko Granville. Musiał teraz tylko jej to uświadomić.

Wkrótce Belinda będzie jego żoną nie tylko z nazwy.

TLR

ROZDZIAŁ ÓSMY

Belinda patrzyła z zachwytem na swoją sypialnię w Halstead Hall. Była urządzone z wielkim przepychem. W swoim życiu poznała, czym jest luksus, ale to, z czym zetknęła się tutaj, przekroczyło wszelkie jej dotychczasowe doświadczenie.

Zasłony w pokoju uszyte zostały z jedwabnego adamaszku, ściany pokrywały materiałowe tapety w niebieskim kolorze, a meble były zestawem kunsztownie dobranych antyków. Belinda patrzyła na to wszystko z zapartym tchem. Na szerokie łoże z baldachimem, na marmurowy kominek i niewielki intarsjowany stoliczek na wygiętych nóżkach, w wiktoriańskim stylu. Widok z okien był oczywiście nie mniej wspaniały.

Była to niewątpliwie sypialnia godna markizy. Obok znajdował się pokój markiza i Belinda nie miała wątpliwości, że Colin postara się, by ona znalazła się w nim prędzej czy później. Co prawda jeszcze nie podpisała małżeńskiej umowy, ale wiedziała od swego prawnika, że prawie wszystko jest już gotowe.

Wciągnęła głęboko powietrze. Wspomnienie pocałunku w oranżerii wciąż do niej powracało. Pamiętała usta Colina na swoich, ich ciepło i słodycz, a także jego dłonie na swych piersiach. Nie powinna była tak łatwo mu ulegać. Niech nie myśli, że ma nad nią jakąkolwiek władzę, albo, co gorsza, przewagę.

Na szczęście była na tyle zajęta, by nie wchodzić mu w drogę. Ostatni tydzień spędziła w Nowym Jorku, załatwiając swoje służbowe sprawy. Dyrektor domu aukcyjnego, w którym pracowała, nie widział problemu w tym, aby na jakiś czas przeniosła się do filii w Londynie.

Belinda zerknęła na zegarek, poprawiła przed lustrem włosy i zeszła na lekki lunch. Na szczęście Colin przebywał w Londynie, nie musiała więc martwić się o to, że będzie narażona na jego uwodzicielskie sztuczki. Nie spodziewała się jednak, że zamiast niego spotka jego matkę. Starsza markiza opuściła Halstead Hall po śmierci męża, zostawiając rezydencję synowi, a sama przeniosła się do Londynu. Często jednak przyjeżdżała do majątku, rezydując tam, gdy składała wizyty w najbliższym sąsiedztwie.

Teraz wyłoniła się z głównego korytarza i zatrzymała się, widząc synową. Odpowiedziała skinieniem głowy na uprzejme pozdrowienie Belindy.

- Zaaklimatyzowałaś się tu już? - spytała zdawkowo, bez uśmiechu.

- Tak, dziękuję.

- Będziesz musiała omówić z kucharzem menu na przyjęcie w przyszłym tygodniu.

A ochmistrzyni, pani Brown, czeka na instrukcje dotyczące prac w domu.

- Porozmawiam z nią jutro - obiecała.

- Doskonale.

- Pomówię też z kucharzem.

- Nie jest łatwo zarządzać tak wielkim majątkiem - rzuciła starsza markiza. - Nie nawykłaś przecież do tego.

Cóż, trudno z tym polemizować, pomyślała Belinda. Zastanawiała się, czy każde jej spotkanie z teściową będzie okraszone garścią drobnych uszczypliwości. Mimo wszystko naprawdę chciała zaskarbić sobie jej sympatię, a przynajmniej szacunek.

- Postaram się, żeby wszystko było dobrze - zapewniła.

Starsza markiza skinęła głową i przeszła do swojego pokoju z wysoko uniesioną głową. Ledwie Belinda zdążyła ochłonąć po spotkaniu z teściową, a już natknęła się na kolejnego członka rodziny Granville'ów.

- Dzień dobry - zawołała Sophie, wchodząc po schodach.

- Dzień dobry.

- Przed chwilą przyjechałam. Wpadłam tylko na weekend. Zabiorę trochę swoich rzeczy i wyjadę jutro...

Siostra Colina przerwała, jakby nagle zdała sobie sprawę z niefortunności wypowiedzianych słów. Wyglądało to tak, jakby chciała wyczyścić dom ze wszystkich wartościowych rzeczy, skoro Belinda była tu teraz panią.

Cóż mogła na to odpowiedzieć? Nie spiesz się? Daj mi znać, jeśli będę mogła w czymś ci pomóc? Wyczuwała, że Sophie nie jest nastawiona do niej nieprzyjaźnie jak jej matka, ale dość nieufnie. Nie mogła jej za to winić. Były rówieśniczkami i widywały się przy różnych okazjach, na wyścigach w Ascot, w operze, na towarzyskich herbatkach, ale prawie w ogóle się nie znały, a ich pochodzenie także nie ułatwiało sprawy.

Belinda otworzyła usta i powiedziała jedyną rzecz, jaka wydawała jej się odpowiednia.

- Odkryłam tu jeden z twoich rysunków. Jest piękny. Jest ich tu więcej?

- Chyba nie. Większość swoich prac trzymam w swoim mieszkaniu, w Londynie.

Mama nie pochwała moich nowatorskich...

- Sophie? - rozległ się wysoki, nieco drżący głos starszej markizy.

Siostra Colina posłała bratowej spłoszony, jakby przepraszający uśmiech i pognąła na górę. Belinda tymczasem weszła do jadalni i usiadła przy dużym owalnym stole. Dziwnie się czuła w roli pani domu.

Dwa lata i będzie wolna...

Było coś niestosownego w tym, by markiz sam robił zakupy w sklepie spożywczym, pomyślała Belinda, patrząc, jak Colin wyklada na taśmę przy kasie produkty. Przebywała w Halstead Hall od kilku dni, gdy Colin wrócił z Londynu. Kiedy powiedziała mu, że wybiera się do supermarketu, uparł się, ku jej wielkiemu niezadowoleniu, że będzie jej towarzyszył.

- Jak często sam robisz zakupy? - spytała, choć doskonale wiedziała, że ma od tego ludzi.

- Nieczęsto - odparł z uśmiechem. - Ale teraz musiałem ze względu na pewną markizę, która uparła się, że sama musi wybrać dżem.

- Przez ostatnie lata nie miałam pojęcia, że jestem markizą i nie zamierzam rezygnować ze swych przyzwyczajzeń, ale ty?

- Skoro William i Kate mogą robić sami zakupy w zwykłych supermarketach, to my też - odparł, powołując się na członków rodziny królewskiej.

- To jednak nie jest zwykły supermarket, a Waitrose - przypomniała mu z uśmiechem.

Sieć brytyjskich sklepów tej marki przeznaczona była przede wszystkim dla klientów z wyższych sfer, dostarczała też produkty na dwór królewski.

Pracownicy sklepu zachowywali się niezwykle miło, wiedząc, że mają do czynienia z markizem oraz markizą. Byli przyzwyczajeni do ważnych osób, odwiedzających ich supermarket w Berkshire.

Colin zapłacił za zakupy i wtedy jeden z obsługujących zaproponował, że zanieś torby do samochodu.

- Nie ma takiej potrzeby - powiedział sympatycznemu nastolatkowi. - Sam sobie poradzę.

Belinda poszła za Colinem i czekała w milczeniu, aż załaduje torby do bagażnika samochodu. Wyprostował się, zrobił zaledwie kilka kroków, gdy nagle zatrzymała go niewysoka starsza pani w eleganckiej garsonce i z torbą Chanel na ramieniu.

- Młody człowieku, czy mógłbyś pomóc mi przenieść to pudło do samochodu? - spytała.

Belinda zdała sobie sprawę, że kobieta pomyliła go z pracownikiem sklepu. Widziała przecież, jak sam niesie torby.

- Och, ale... - zaczęła, ale Colin puścił do niej oko i ruchem głowy poprosił, by nic nie mówiła.

Wzruszyła więc ramionami i z niemałym rozbawieniem patrzyła, jak Colin przenosi ekspres do kawy do bagażnika samochodu. Po chwili ze sklepu wyszedł jeden z pracowników sklepu i widząc, że markiz przenosi paczki, ruszył w jego kierunku.

Belinda obserwowała tę scenę z uśmiechem. Skoro Colin chciał się bawić, postanowiła uwiarygodnić jego rolę chłopca na posyłki.

- Och, gdzie ja mam głowę! - zawołała, spoglądając na Colina przepraszająco. - Zapomniałam dać panu napiwek.

Odwrócił się w jej stronę i błysnął zębami w szerokim uśmiechu. W tym czasie stanął przed nimi prawdziwy pracownik supermarketu.

- Jaśnie panie, czy mógłbym pomóc? - spytał.

Belinda widziała, jak twarz starszej kobiety stężała. Jaśnie panie... Najwidoczniej była świadoma, że tak zwracano się tylko do najważniejszych członków arystokracji.

- O Boże. - Kobieta zakryła usta dłonią, przenosząc wzrok z Colina na Belindę i z powrotem. - Och, nie miałam pojęcia. Jestem nowa w tych stronach...

- Przedstawiam pani markiza Easterbridge - zaanonsowała Belinda jak rasowa szefowa protokołu dyplomatycznego.

- Cieszę się, że mogłem pani pomóc - powiedział Colin szarmancko.

- Och, o Boże. - Starsza dama najwyraźniej wciąż nie mogła dojść do siebie po tym, jak się dowiedziała, że członek książęcego rodu pomagał jej dźwigać zakupy. Czy przyjaciółki uwierzą, gdy im to powie?

Belinda pochyliła się w stronę starszej damy i szepnęła żartobliwie na ucho:

- Jako arystokrata wydaje się być jeszcze przystojniejszy, prawda?

- Ja i mój mąż bylibyśmy zaszczytzeni, gdyby jaśnie pan zachciał przyjąć od nas zaproszenie na herbatę - rzekła uroczystym tonem, wciąż oszołomiona starsza pani. - W podziękowaniu za pomoc.

- Dziękujemy za zaproszenie - uśmiechnęła się Belinda.

- Przedstawiam pani moją żonę - odezwał się Colin, dokonując prezentacji, po czym zwrócił się do młodego pomocnika. - Czy byłbyś tak uprzejmy i odstawił wózek tej uroczej pani na miejsce?

- Oczywiście, jaśnie panie.

- Doskonale.

Belinda wróciła do samochodu i wsiadła do środka, a po chwili dołączył do niej Colin.

- Dzięki, że przyjęłaś zaproszenie na herbatę - powiedział.

- Proszę bardzo. Problem jednak w tym, że nie wzięła od ciebie adresu, na który mogłaby wysłać oficjalny liścik.

- Och, jestem pewien, że jeśli zapyta tu kogokolwiek, każdy skieruje ją do Halstead Hall.

- Ładnie się zachowałeś, że nie sprostowałeś od razu pomyłki, tylko jej pomogłeś.

- Nazwała mnie młodym człowiekiem, zauważyłaś? Pewnie to kwestia perspektywy, ale miło jest tak być postrzeganym.

- Ubrałeś się tak skromnie, że nic dziwnego.

- Wolałabyś, żebym założył szaty lorda? - spytał sztucznie napszonym tonem.

- Daruj, ale nie - zaśmiała się.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy Colin zaproponował, by uczestniczyli w przedstawieniu w Covent Garden, Belinda nie była w stanie odmówić. Tym bardziej że miała być wystawiana *Aida*, jedna z jej ulubionych oper Verdiego, opowiadająca o losach pięknej niewolnicy. Była szczęśliwa i podekscytowana, gdy Colin kupił bilety na najlepsze miejsca, zazwyczaj bardzo trudno dostępne. Chciała wierzyć, że zrobił to ze względu na nią, że chciał sprawić jej przyjemność, ale w uszach wciąż dźwięczały jej słowa stryja Hugh: Colin cierpiał z powodu urażonej dumy, gdy o mało nie poślubiła innego mężczyzny i teraz chciał całemu światu pokazać, że to on jest górą, on zwyciężył, on pokonał rywala. Bywanie w operze, gdzie pojawiała się śmietanka towarzyska, było idealnym sposobem, by zaprezentować się wszystkim jako kochająca się para.

Belinda ubrała się w niebieską koktajlową suknię i pantofelki z ręcznie wyszywanym wzorem. Włosy zebrała w luźny węzeł i spięła klamrą nad karkiem.

Tak naprawdę drżała z przejęcia, gdy schodziła do wyjścia głównymi schodami w Halstead Hall, świadoma, że Colin, niezmiernie przystojny, męski i elegancki obserwuje ją przez cały czas.

Ich małżeńska umowa została sporządzona, przeczytana oraz podpisana i tak naprawdę nie było już żadnego pretekstu, dla którego miałyby trzymać Colina z daleka od swojego łóżka. Próbowwała skupić się przede wszystkim na myśli, że odzyska dla rodziny obie posiadłości. Natomiast nie powinna myśleć o chwili, gdy stanie twarzą w twarz z mężem, w jego sypialni, gdy pozwoli, by silne męskie dłonie sunęły powoli po jej ciele, sprawiając, że będzie desperacko pragnęła należeć do Colina. Nie powinna myśleć o rozkoszy, jakiej może zaznać w jego ramionach.

Nie powinna i już.

Ponieważ kolację zjedli w domu, pojechali bezpośrednio do Opery Królewskiej w Covent Garden, artystycznej dzielnicy Londynu. Colin sam prowadził swego astona martina, dając wolne na wieczór szoferowi z Halstead Hall.

W operze zgromadził się już spory tłum miłośników muzyki poważnej. Colin przedstawił ją kilkorgu swoim znajomym i Belinda dzielnie się spisała, swobodnie dow-

cipkując i posyłając promienne uśmiechy. Jednak żałowała, że nie ma przy niej Pii albo Tamary, dla emocjonalnego wsparcia.

W końcu ich mężowie byli najbliższymi przyjaciółmi Colina.

Kiedy dotarli do swojej łóży, Belinda pochyliła głowę nad programem i studiowała go w skupieniu, dopóki nie zgasły światła - znak, że przedstawienie się zaczyna. Po chwili poczuła, że Colin ujmuje jej rękę i lekko ją ściska. Uścisk był zadziwiająco delikatny, czuły, pieszczotliwy. Nie mogła zaprzeczyć, że zrobiło to na niej wrażenie. Lekko zadrżała.

Targały nią silne emocje, współgrające z dramatem rozgrywającym się na scenie. Colin przesuwiał kciukiem po jej miękkiej skórze, wystukiwał rytm, sprawiając, że jej ciało zaczęło pulsować w przyspieszonym tempie. Zerknęła kątem oka, ale on patrzył wprost na scenę i jedynie długie palce zaciśnięte na jej dłoni zdradzały, że jest nią zainteresowany.

Musiała przyznać, że w ostatnim czasie coraz bardziej ulegała czarowi Colina. Chciałaby, żeby było inaczej, ale miał w sobie jakiś magnetyczny seksapil, który zjednywał mu wszystkie kobiety bez wyjątku.

Zabrała rękę i próbowała skupić się na treści opery. Na jej oczach rozgrywał się wyrażony najpiękniejszymi ariami dramat dowódcy wojsk egipskich, Radamesa, rozdartego między miłością do uwięzionej księżniczki Aidy a lojalnością wobec faraona, który postanowił dzielnemu dowódcy ofiarować za żonę swą córkę Amneris.

Belinda nie mogła znieść końcowej sceny, kiedy to Radames i Aida, spleceni w uścisku, czekają na śmierć. Przełknęła łzy, zamrugała oczami i przygryzła górną wargę. Muzyka Verdiego była pełna uczucia, dramatycznego napięcia, chwytających za serce dźwięków. Nagle znów poczuła kciuk Colina na swoim przegubie. Chciał ją pocieszyć?

Przedstawienie dobiegło końca i sala wybuchła gromkimi brawami. Belinda bez słowa przyjęła chusteczkę od Colina. Czuła się jak idiotka. Wiedziała przecież, jak zakończy się opera, a mimo to nie potrafiła zapanować nad wzruszeniem.

Radames i Aida byli jak Romeo i Julia. Dwa zwaśnione rody, nienawiść, miłość dwojga ludzi z góry skazana na klęskę... Zupełnie jak w przypadku jej i Colina.

- Podobał ci się spektakl? - zapytał zmysłowo niskim głosem.

- Był cudowny - szepnęła, pociągając nosem.

Uśmiechnął się, widząc jej zaczerwienione oczy i mocno uściśnął jej rękę.

- Wracajmy do domu.

Belinda doznała dziwnego uczucia. Colin po raz pierwszy użył określenia dom, mówiąc o rezydencji Halstead Hall. Zabrzmiało to intymnie, jakby naprawdę byli rodziną.

Droga powrotna upływała im w ciszy. Colin dopiero po kilku minutach podjął próbę rozluźnienia poważnego nastroju.

- Myślałem, że sprawię ci przyjemność biletami na *Aidę*, ale widzę, że kończy się to łzami - zażartował, udając, że czuje się winny.

- Przecież na tobie również ta opera musiała zrobić wrażenie - broniła się.

Colin rzucił jej przelotne spojrzenie. Uśmiech igrał mu na wargach.

- Zajęty byłem nie tylko operą, ale także patrzeniem na ciebie.

- Wcale na mnie nie patrzyłeś! - zaprotestowała gwałtownie.

- A skąd wiesz, że nie?

Zagryzła wargi, bo przecież mogłaby to wiedzieć tylko pod warunkiem, że sama nie odrywałaby od niego wzroku.

- Wiem - upierała się. - Byłeś zbyt zajęty bawieniem się moją ręką.

Colin roześmiał się gardłowym, niskim głosem i wjechał w drogę wiodącą do rezydencji. Kiedy podjechali pod dom, wokół panowała cisza i absolutna ciemność. Colin zapowiedział służbie, by nie czekali na ich powrót z Londynu, a poza tym większości dał wolne.

Belinda zatrzymała się w holu, nie bardzo wiedząc, co dalej robić. W głowie miała różne scenariusze końca tego wieczoru, ale żaden nie wydawał się odpowiedni.

- Kieliszek czegoś mocniejszego przed snem? - spytał Colin.

- Chętnie - zgodziła się skwapliwie.

Podążyła za nim do biblioteki, zdjęła z siebie płaszcz i usiadła na sofie. Z wdzięcznością przyjęła kieliszek przezroczystego płynu z lodem. Domyślała się, że to dżin, a może wódka?

- Na zdrowie! - zawołał Colin, wznosząc swój kieliszek w geście toastu. - Za nowy początek.

Belinda, idąc za jego przykładem, wypila zawartość jednym haustem i zaraz jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Woda?

- A cóż innego? - Wziął od niej kieliszek i postawił obok swojego na stoliku.

Nie tego się spodziewała, gdy zaproponował „coś mocniejszego”. Była przekonana, że poda jej alkohol, aby ją rozluźnić.

Colin delikatnie przesunął dłonią po jej ramieniu, które natychmiast pokryło się gęsią skórką.

- Będzie lepiej, jeśli każde z nas zachowa trzeźwość.

- Dlaczego? Żebyśmy nie zrobili niczego pochopnie i nie żałowali tego?

Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Nie. Żebyśmy nie mieli żadnych wymówek, kiedy to zrobimy.

Serce Belindy wybiło głośnie staccato.

- Przestań - poprosiła żałośnie.

- Dlaczego?

- Przestań się bawić moim kosztem. Bo dla ciebie to tylko zabawa, prawda?

- Gdyby to była zabawa, czy byłbym taki poważny? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Chcesz uśpić moją czujność. Zrobisz wszystko, żeby wygrać.

- I tu masz rację. Zrobię wszystko. Pocałuj mnie - zażądał miękko.

- Tak od razu? Nie będziesz próbował mnie kusić? Zdobywać? Czyżby brakowało ci pomysłów?

- Nie. Ale czekałem na to trzy lata i brakuje mi cierpliwości.

Chwycił jej dłoń i przytknął do swojej piersi.

- Być może urodziliśmy się po to, by być wrogami, ale w tej jednej sprawie jesteśmy jednością.

- To tylko pożądanie - próbowała bagatelizować jego słowa, ale serce biło jej coraz mocniej.

- To wystarczająco dużo.

Pochylił się nad nią i najpierw odwrócił głowę w lewą stronę, za chwilę w prawą, jakby zastanawiał się, w jaki sposób ją pocałować. Miała wrażenie, że trwało to nieskończenie długo. Kiedy wreszcie poczuła jego usta na swoich, z westchnieniem rozchyliła wargi. Gładził jej ramiona, a ona pod tym dotykiem rozluźniała się, uwalniała od lęków i niepotrzebnych wątpliwości. A wydawało jej się, że zamknęła na klucz drzwi do swojej przeszłości, że na zawsze wymazała w pamięci noc w Las Vegas. Teraz jednak wszystko powracało ze zdwojoną siłą.

Colin przesunął ręce na jej plecy.

- Nie wiem, gdzie jest suwak - wyszeptał pomiędzy pocałunkami.

- I oto chodzi - odparła ledwo dosłyszalnie.

- Nie chciałbym zniszczyć twojej pięknej sukni. Cudownie w niej wyglądasz i jestem pewien, że będą jeszcze inne wieczory, na które mogłabyś ją założyć i znów powalić mnie na kolana.

- Nie jesteś na kolanach - zauważyła z uśmiechem.

Popatrzył jej w oczy i zapytał ściśniętym głosem.

- A chciałabyś, żebym był?

Przesunął palec z obojczyka na dolinę między jej piersiami.

- Gdybym padł przed tobą na kolana, myślę, że moje usta byłyby na tej wysokości.

Podwinął sukienkę i delikatnie dotknął językiem wrażliwej skóry jej brzucha. Belinda wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Gdybyś jednak nachyliła się trochę do przodu - kontynuował - moje usta byłyby tu...

Palcem dotknął przez materiał brodawki jej piersi.

- Nachylisz się więc?

- Jak rozumiem... pytasz tylko... teoretycznie? - spytała, próbując zapanować nad oddechem.

- Niekoniecznie.

Raz jeszcze przyłgął wargami do jej warg i zamknął ją w mocnym uścisku. Objęła ramionami jego kark i w oszołomieniu poczuła, że w końcu odnalazł zapięcie jej sukni i

powoli zsuwa delikatny materiał z jej ramion. Pocałował ją w szyję, potem we wrażliwe miejsce za uchem.

Wszystkie wspomnienia z ich wspólnej nocy w Las Vegas wróciły. Żartowali, śmiali się i drażnili ze sobą, a potem... To była najwspanialsza noc w jej życiu. Pamiętała, jak Colin cierpliwie i z wielką delikatnością prowadził ją na wyżyny doznań. Niczego nie przyspieszał, nie dążył tylko do własnego zadowolenia. Jej kobiecość rozkwitała pod jego rękami. W jedną noc nauczył ją więcej o sztuce miłosnej, niż mogłaby marzyć.

A teraz znowu to przeżywała.

Zsunął z niej sukienkę do końca. Podniósł się, cofnął kilka kroków i przysiadł na rogu biurka.

- Chodź do mnie. Proszę.

Gdyby był arogancki albo niecierpliwy, być może zdołałaby mu się oprzeć. Ale był grzeczny i pokorny. Podeszła więc do niego bez słowa protestu i zamknęła oczy. Pozwalała, by językiem pieścił jedną brodawkę piersi, potem drugą, czując, jak narasta w niej pożądanie. Jęknęła cicho i wsunęła palce w jego włosy. To zbyt wiele i jednocześnie wciąż za mało, pomyślała. Zrzucali z siebie resztę ubrań, sztuka po sztuce, i tylko spodnie Colina stanowiły jedyną barierę między ich ciałami. Bez słowa podniósł ją i ułożył na sofie. Nie potrafiła już dłużej panować nad reakcją swojego ciała, które domagało się spełnienia. Pieścił ją powoli, uważnie jak przystało na wytrawnego kochanka.

- Pragnę cię - wyszeptał.

Zauważyła, że wyjął z kieszeni spodni zabezpieczenie, po czym szybko je zdjął. Stanął przed nią nagi. Płomienie kominka rzucały blask na całą jego postać. Patrząc na niego, nie mogła mieć najmniejszych wątpliwości, jak bardzo jej pożąda.

Colin wsunął się między jej uda. Jeszcze przez chwilę pobudzał jej ciało, chcąc zwiększyć siłę doznań, po czym powoli wślizgnął się w nią, sprawiając, że obydwoje westchnęli głośno.

Trzy lata czekania. Belinda wiedziała, że on odbiera to tak samo intensywnie jak ona. Czowała, że wstrząsają nim dreszcze. Gdy zaczęli się poruszać, objęła ramionami jego plecy, wyczuwając pod dłońmi twarde mięśnie. Unosiła się ku niemu, mocno oplatając udami biodra. Była pod wrażeniem, widząc, jak Colin potrafi zapanować nad swoimi

pragnieniami, by najpierw jej dać rozkosz. Tak właśnie zachowywał się też w Las Vegas. Po chwili przetoczyła się przez jej ciało szczytowa fala, tak silna, że krzyknęła głośno.

Colin trzymał ją mocno w ramionach, uspokajając, szepcząc coś kojąco. Dopiero po chwili znów zaczął się poruszać, coraz szybciej i mocniej, aż nagle znieruchomiał i wydał z siebie przeciągły jęk.

Leżeli objęci, zmęczeni, bez tchu, ale szczęśliwi. Jeśli do tej pory Belinda myślała, że ich pierwszy wspañiały raz w Las Vegas był nie do powtórzenia, teraz musiała zmienić zdanie.

Tak jak zapowiedział, zdobył ją, a ona nie czuła nic poza błogą rozkoszą.

TLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Colin razem z Hawkiem siedzieli na wygodnej kanapie w bibliotece londyńskiego apartamentu Sawyera. Tamara, żona Sawyera, zaledwie poprzedniego dnia wróciła do domu ze szpitala, gdzie urodziła hrabiemu Melton potomka. Podczas gdy mężczyźni po swojemu świętowali to wydarzenie, Belinda, Pia i młoda matka zaszyły się w pokoju dziecięcym.

- Moje gratulacje, Melton - powiedział Colin.

- Dziękuję. Proponuję szklaneczkę szkockiej za moją dzielną żonę.

- Chętnie, to naprawdę wspaniałe wydarzenie - dodał Hawk.

- Pewnie - przyznał Colin. - Mały wicehrabia jest w doskonałej formie, mimo że urodził się trochę przed czasem.

Belinda zaledwie kilka dni po wieczorze w Covent Garden otrzymała wiadomość, że Tamara urodziła zdrowego chłopca. Colin natychmiast zawiózł ją do Londynu, wciąż mając w pamięci ich niezwykłą miłosną noc. Wiedział, że nie przeżyłby czegoś podobnego z żadną inną kobietą. Czekał na nią długo, zbyt długo, ale warto było. Rzeczywistość była wspanialsza od jego tęsknot i marzeń.

- Przyznaję, że mały wicehrabia trochę nas zaskoczył wcześniejszym przyjściem. - Sawyer przerwał rozmyślania Colina. - Urodził się zdrowy i duży, siedem funtów, więc może i dobrze, że Tamara nie musiała go dźwigać przez kolejny tydzień.

- Dzięki podwójnemu obywatelstwu Tamary wasze dziecko będzie też Amerykaninem - podsunął Colin.

- Jestem pewien, że z tego powodu niektórzy z moich przodków przewracają się w grobie. W każdym razie wraz z dzieckiem rozpoczęło się dla nas coś nowego i bardzo mnie to cieszy.

- Á propos - Hawk zwrócił się do Colina. - Wydaje mi się, że w ostatnich dniach lepiej układa się między tobą a Belindą, prawda?

- Skąd wiesz?

- I tym pytaniem potwierdziłeś moje przypuszczenia. Jak na takiego wytrawnego gracza szybko się zdradziłeś.

Colin roześmiał się, uderzając ręką o kolano.

- I tu mnie masz.

- Rozumiemy cię - powiedział Sawyer, podając przyjacielowi szklaneczkę z alkoholem. - Jeszcze do niedawna byliśmy w takiej samej sytuacji.

Colin wiedział, że droga Sawyera oraz Hawka do szczęścia małżeńskiego nie była łatwa, ale teraz wszystkie trudności mieli już za sobą. Nagle usłyszał dźwięk telefonu komórkowego. Spojrzał na wyświetlacz i uśmiechnął się z satysfakcją.

- Panowie, możecie mi pogratulować - oznajmił, upijając łyk szkockiej z lodem. - Macie przed sobą nowego właściciela londyńskiej posiadłości Elmer Street.

Hawk uniósł brew i zmarszczył czoło.

- Czy Elmer Street nie należy czasem do Wentworthów?

- Już nie.

- Niech zgadnę - wtrącił Sawyer. - I tym razem nie ujawniłeś swojej tożsamości, tylko dokonałeś kupna przez podstawionego człowieka? Bądź ostrożny. Podziwiam twoją żyłkę do interesów, ale uważaj, żebyś przez to nie popsuł swoich relacji z żoną.

- Wierz mi, tym razem więcej na tym tracę, niż zyskuję.

Belinda ze wzruszeniem patrzyła na maleńkiego wicehrabiego Averil, który spał słodko w swoim łóżeczku. Tamara i Sawyer dali chłopcu na imię Elliott, ale ponieważ dziedziczył po ojcu szlachectwo i tytuły, jego pełne nazwisko brzmiało Elliott Langsford, wicehrabia Averil. Razem z Pią i zmęczoną, ale szczęśliwą Tamarą pochylały się nad łóżeczkiem niczym trzy dobre wróżki.

Belinda nic nie mogła poradzić na to, że nieustannie powracała myślami do wydarzenia sprzed dwóch dni. Przeżyła najwspanialszą noc w swoim życiu i z niecierpliwością czekała na kolejne. Pragnęła swego męża do szaleństwa i nie wstydziła mu się tego okazywać, a jednak teraz, gdy patrzyła na śpiącego synka przyjaciółki, towarzyszyło jej uczucie smutku i żalu. Umowa z Colinem wygaśnie za dwa lata i każde z nich pójdzie w swoją stronę. Nie urządzi w Halstead Hall pokoju dziecięcego, nie będzie trzymała w ramionach bezbronного maleństwa. Zabezpieczali się przecież. Nie powinna ulegać

emocjom. Przecież nie chciała zająć w ciążę z Colinem. Tego nie było w ich umowie, a matką mogła jeszcze zostać, po rozwodzie.

- Może usiądziemy? - wyszeptała Pia.

Tamara kiwnęła głową i we trzy na palcach przeszły do pokoju zabaw, zostawiając jednak drzwi otwarte, aby słyszeć ewentualny płacz Elliotta.

- Moje drogie, nawet nie macie pojęcia, jaka jestem szczęśliwa - westchnęła Tamara, siadając w fotelu bujanym.

- To widać - uśmiechnęła się Pia. - Cała promieniejesz. Muszę przyznać, że ślicznie urządziłaś pokoje dla dziecka. Belinda może potwierdzić, ona zna się na sztuce.

- Zgadzam się. A tu jest wprost bajecznie. Tyle zabawek. Mały Elliott będzie zachwycony.

- Nie tylko Tamara promienieje - stwierdziła Pia, spoglądając na Belinę. - Razem z Colinem wyglądacie jak para zakochanych nastolatków. Zdawało mi się, czy też dobrze widziałam, że pocałowaliście się w korytarzu?

Belinda zarumieniła się i spuściła wzrok. Rozsadzała ją szczęście, ale nie chciała dawać Pii, niepoprawnej romantycze, złudnych nadziei. Prawdą było, że zostali z Colinem kochankami, ale ich związek daleki był od relacji kochających się małżonków.

- Tak, ja też zauważyłam, że patrzyłaś dziś na Colina przychylniejszym wzrokiem - dodała Tamara.

Pia klasnęła w dłonie.

- Och, jak cudownie. Tak się cieszę. Ja zawsze uważałam, że ty i Colin powinniście...

- To nie jest tak, jak myślisz. - Belinda ucięła entuzjastyczne wywody przyjaciółki. Wahala się przez chwilę, po czym wyznała cicho. - Spałam z nim.

Pia wydała stłumiony okrzyk.

- Bądź ostrożna - poradziła jak zwykle rozsądna Tamara. - Obawiam się, że twój Colin ulepiony jest z tej samej gliny co dwóch jego przyjaciół, siedzących teraz w bibliotece. Oczywiście nic nie uchybiając naszym mężom, Pia. Wiecie, co mam na myśli. Z nimi nie jest lekko.

Belinda coś o tym wiedziała.

- A ja uważam, że prawdziwa miłość zawsze zwycięży - zawyrokowała Pia. - Udało się mnie i Tamarze, uda się i tobie.

Belinda nie odpowiedziała, ale jej twarz zdradzała, że ma spore wątpliwości. Nie tak łatwo zasypać przepaść między dwiema wrogimi sobie rodzinami.

Dwa dni po wizycie u Tamary i Sawyera Belinda szykowała się na przyjęcie zorganizowane w sąsiedniej rezydencji z okazji wernisażu poświęconego osiemnastowiecznej sztuce chińskiej.

Siedząc przy klasycystycznej toalecie, zastanawiała się, czy Colin przyjął zaproszenie, żeby sprawić jej przyjemność, wiedział przecież, że sztuka jest jej pasją. Musiała przyznać, że małżeństwo z nim nie było aż tak wielkim poświęceniem, jak sądziła. Dawał jej nieskończenie wiele i w dzień, i w nocy. Przy nim czuła się piękna, kobieca i świadoma swoich pragnień.

Dokończyła makijaż i z zafrasowaną miną zaczęła przeglądać zawartość swojej szafy, odsuwając jeden wieszak za drugim. Wreszcie zdecydowała się na długą do ziemi i ozdobioną koralikami suknię w kolorze kości słoniowej, podkreślającą pięknie jej ciepły odcień skóry i doskonałe kształty.

Jeśli zamierzała zrobić wrażenie na Colinie, nie zawiodła się. Czekał na nią w salonie i gdy pojawiła się w drzwiach, popatrzył z zachwytem. Belinda poczuła, jak pod wpływem jego spojrzenia serce zabiło jej mocniej. Sama również nie mogła oderwać od niego oczu. Wyglądał wspaniale w smokingu, był męski, silny i nieziemsko przystojny.

- Jaśnie panie, zaczekam na zewnątrz przy samochodzie - odezwał się szofer.

- Dobrze, Thomasie - odparł automatycznie Colin, wpatrując się w Belindę. - Wyglądasz... - Szukał odpowiedniego słowa. - Zjawiskowo.

- Dziękuję. - Zarumieniła się

- Mam coś dla ciebie.

Colin podał jej niewielką aksamitną szkatułkę. Nieco onieśmielona podniosła wieczko i wydała z siebie cichy okrzyk zachwyty. W środku znajdował się olśniewający brylantowy naszyjnik. Belinda od razu poznała, że musiał pochodzić z czasów królowej Wiktorii albo króla Edwarda.

- Należał do mojej praprababki. - Colin uśmiechnął się ciepło. - Ona nie wywodziła się z Granville'ów.

- Jest przepiękny. Daj mi chwilę, pójdę go przymierzyć.

- Nie ma takiej potrzeby, ja ci pomogę.

Ich spojrzenia skrzyżowały się i Belinda kiwnęła głową. Chwilę potem poczuła na swojej skórze chłód brylantów, a także ciepło palców, wprawiające jej ciało w drżenie. Oddychała z trudem, wiedząc, że stoi tuż za nią, że jest tak blisko. Gdy zapiął naszyjnik, odwrócił ją ku sobie i przez moment miała wrażenie, że ją pocałuje, on jednak cofnął się.

- Z niecierpliwością czekam na dzisiejszą noc - powiedział zmysłowym głosem.

Co się z nią dzieje? Czowała się tak odurzona jego bliskością, że nie była w stanie myśleć logicznie.

Gdy dotarli na przyjęcie, Belinda odzyskała równowagę i zamierzała dobrze się bawić. Na miejscu pojawiła się oczywiście cała miejscowa śmietanka towarzyska, ale nie wyczuwało się typowej sztywnej atmosfery, wręcz przeciwnie.

Nagle mignęła jej wśród gości znajomą twarz. Och nie, Tod. W panice poszukała wzrokiem Colina. On także zauważył obecność byłego narzeczonego. Nie miała pojęcia, że tu będzie. Wciąż odczuwała wyrzuty sumienia, że tak się między nimi ułożyło. Nie chciała go skrzywdzić ani oszukać. Naprawdę szczerze go lubiła.

Biła się z myślami, a tymczasem Tod zmierzał w jej kierunku.

- Lady Wentworth, a może raczej powinienem powiedzieć Lady Granville - przywitał ją.

- Tak czy inaczej, markiza Easterbridge - powiedział sztywno Colin, wyłaniając się zza jego pleców.

Belinda po raz kolejny zdała sobie sprawę, jak ci dwaj mężczyźni różnią się od siebie. Nie mogła oprzeć się porównaniu, które wypadło na korzyść Colina. Tod, choć był przystojny, w obecności Easterbridge'a tracił cały swój męski powab. Nie chodziło tylko o wygląd zewnętrzny. Belinda dobrze się czuła w towarzystwie Toda, dawał jej poczucie bezpieczeństwa i miała szczerą chęć, by uczynić go szczęśliwym, ale to Colin wyzwalał w niej pasję, namiętność, która zagłuszała poczucie obowiązku i lojalność wobec własnej rodziny.

- Mógłbym cię prosić do tańca? - Tod wyciągnął rękę.

- Ten taniec należy do mnie - odpowiedział za nią Colin.

Spojrzała na niego zdumiona, ale nim zdążyła zareagować, mężczyźni stanęli naprzeciwko siebie z marsowymi minami.

- W takim razie następny - nie ustępował Tod, patrząc rywalowi prosto w oczy.

- Następny też jest zajęty.

- Belinda chyba może mówić sama za siebie.

- Nie ma takiej potrzeby, już wszystko zostało powiedziane - fuknął Colin lodowatym tonem.

Belinda z niepokojem zauważyła, że ta krótka wymiana zdań, niedosłęgo męża i obecnego, zaciekawiła niektórych gości.

- Najpierw wciągasz ją w to małżeństwo - perorował Tod - a teraz chcesz ją zamknąć przed światem?

- Czyżbyś nie zauważył, że Belinda jest tu na oficjalnym przyjęciu i raczej trudno to nazwać zamykaniem przed światem? I mylisz się, sądząc, że przymusiłem ją do małżeństwa. Do twojej wiadomości, wzięliśmy ślub, bo nie byliśmy w stanie trzymać rąk z daleka do siebie.

Tod zacisnął usta i pobladł. Była to czytelna aluzja do jego związku z Belindą. Rzecz w tym, że akurat oni nie mieli problemu z trzymaniem rąk przy sobie.

- Przestańcie natychmiast! - Belinda zawołała przyciszonym głosem, stając między nimi. Jej oczy miały skry. - Wasze zachowanie jest skandaliczne.

Po tych słowach odwróciła się na pięcie i odeszła, zbyt wściekła, by z kimkolwiek rozmawiać. Rozczarowało ją zachowanie Colina. Potraktował ją jak swoją własność, nie pozwolił dojść do głosu i celowo prowokował Toda. Powinien był ją wspierać, a nie robić przedstawienia na oczach wszystkich. Nie chciała być bohaterką kolejnego skandalu czy plotek. Już raz przez to przeszła. Zgodziła się pozostać żoną Colina przez najbliższe dwa lata, ale to mu nie dawało do niej aż takich praw.

Belinda przez resztę wieczoru starała się unikać zarówno Toda, jak i Colina, rozmawiając nieustannie z innymi gośćmi. Na szczęście przy kolacji, ze względu na towarzyski protokół, nie siedziała obok męża ani też, co przyjęła z ulgą, obok Toda.

W drodze powrotnej do domu nie zamieniła z Colinem ani jednego słowa. Obecność szofera powstrzymywała ją przed powiedzeniem mężowi parę słów do słuchu. A gdy już dojechali na miejsce, umknęła szybko do swego pokoju, wykorzystując fakt, że Colin rozmawiał z kamerdynerem.

Usiadła przed lustrem i z rosnącą furią wpatrywała się w swoje odbicie. Makijaż był bez zarzutu, włosy też prezentowały się dobrze, nikt, patrząc na nią, nie poznałby, że od środka rozsadza ją wściekłość.

Jak on mógł się tak zachować! Za kogo się uważa!

Zdjęła z szyi kolię i odłożyła na toaletkę. Czyżby uważał, że ją sobie kupił?

Nasłuchiwała jego kroków, ale wokół panowała cisza. Po kilku minutach zerwała się energicznie z miejsca i zeszła na dół, kierując się w stronę biblioteki, skąd dochodziły jakieś dźwięki. Nie pomyliła się. Colin stał przy kominku z karafką w jednej ręce i szklanką w drugiej. Miał rozwiązany krawat i rozpięte dwa pierwsze guziki koszuli. Pomimo tej niedbałości w stroju, nadal był niewiarygodnie atrakcyjny.

- Napijesz się? - spytał, unosząc karafkę.

Potrząsnęła odmownie głową.

- Jak chcesz. - Wzruszył ramionami i nalał sobie porządną porcję.

- Zachowałeś się okropnie wobec Toda.

- Nie przesadzaj, nic takiego nie zrobiłem - warknął zirytowany. - Nie musiałaś się wtrącać.

- Musiałam - upierała się.

- Bo co? Bałaś się, że skoczymy sobie do oczu? Że zrobię krzywdę twojemu ukochanemu?

- On nie jest moim ukochanym - zaprzeczyła. - Chciał tylko zatańczyć. Nic ci nie zrobił, a ty zachowałeś się karygodnie.

- A twoje zachowanie? - Popatrzył jej prosto w oczy. - Nie obchodzi cię, co ja mogę czuć?

Belinda zamrugnęła oczami, nie rozumiejąc.

- Jestem gotów spełniać każdą twoją zachciankę, każde życzenie, zupełnie jak niewolnik, a ty, co dajesz w zamian?

Zbliżył się do niej i Belinda poczuła ciarki na plecach.

- Nie opowiadaj głupstw. Nasza umowa nie dała ci prawa do tego, aby być nieuprzejmym wobec Toda.

- Czyżby? - wysyczał, mrużąc oczy.

Belinda uświadomiła sobie ze strachem, że jest nie mniej zdenerwowany od niej.

- O mało za niego nie wyszłaś, choć formalnie byłaś moją żoną.

- Wtedy nie wiedziałam o tym!

- Ale teraz już wiesz.

Krążył wokół niej jak jastrząb, a ona próbowała zebrać myśli i dać odpór jego nastliwej retoryce.

- W porządku, nie wiedziałaś. - Colin zatrzymał się. - Ale teraz jesteś moją żoną. Podpisałaś umowę.

I wtedy Belindę przeszły nagła, cudowna myśl. Colin był zazdrosny o Toda! Stąd jego dziwne zachowanie.

Gdy musnął dłonią jej ramię, nie cofnęła się, tylko zadrżała lekko, co nie uszło jego uwagi.

- To zawsze będzie nas łączyło - stwierdził z pełną pychy wyższością.

Nie zamierzała z nim polemizować. Miał rację. Z Todem nigdy nie przeżyłaby takich fantastycznych nocy. To, co łączyło ją z Colinem, było wyjątkowe i niepowtarzalne.

- Muszę cię pocałować - usłyszała i natychmiast zatonęła w jego objęciach.

Nie próbowała go od siebie odpychać, tylko przylgnęła całym ciałem.

Całowali się jak szaleni, nerwowo, niecierpliwie, bez opamiętania.

- Miałem ochotę skrócić Dillinghamowi kark, za to, że chciał zatańczyć z moją piękną żoną - wychrypiał, odrywając się na chwilę od jej ust.

- Wiem - szepnęła, bo teraz naprawdę zaczynała rozumieć jego zachowanie, co nie znaczy, że je pochwalała.

Ich wzajemne pieszczoty były pełne palącej niecierpliwości, szaleńczego pragnienia, by natychmiast dać upust swemu pożądaniu.

Wreszcie, gdy już obydwoje byli nadzy, Belinda mogła przekonać się na własne oczy, jak bardzo Colin jest podniecony, ale pragnęła też to poczuć.

- Tak, dotknij mnie tu - szepnął i pocałował ją mocno. - Belinda, moje kochanie...

I znów ułożył ją na zabytkowej sofie. Najwyraźniej biblioteka już na zawsze miała pozostać sekretnym miejscem ich miłosnych uciech.

Całował jej szyję, dekolt, piersi, rękami pieścił wewnętrzną stronę ud. Cofnął się tylko na chwilę, by wyjąć zabezpieczenie.

- Wiesz, zanim byłem z tobą, nie sądziłem, że biblioteka może być tak podniecającym miejscem.

Zmrużyła oczy i rzuciła mu uwodzicielskie spojrzenie spod ciemnych rzęs.

- Chcesz, żebym odegrała rolę seksownej bibliotekarki?

Roześmiał się głośno.

- Chodź tu - szepnął, pochylając się nad nią i całując mocno w usta.

Ostatnią myślą Belindy, zanim poddała się zmysłowej gorączce, była refleksja, że skoro nie potrafiła oprzeć mu się teraz, gdy była na niego wściekła, to już nigdy nie będzie umiała.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Belinda wachlowała się programem, patrząc, jak Colin sprawnie wywija kijem, mocno trzymając się w siodle. Podziwiała jego silnie umięśnione nogi w obcisłych spodniach i szerokie ramiona.

W kwietniu rozpoczął się sezon gry w polo i na szczęście tego roku pogoda była łaskawa dla graczy. Dochód z meczu miał być przeznaczony na potrzeby lokalnego dziecięcego szpitala. Szczytna idea łączyła się z przyjemnym spędzaniem czasu na świeżym powietrzu, na polach golfowych w pobliżu Halstead Hall.

Minął tydzień, od kiedy doszło do konfrontacji między Colinem a Todem, tydzień od ich namiętnej nocy w bibliotece. Wciąż nie mieli siebie dość, spragnieni swojej obecności, swoich ciał, łączących się w intymnym tańcu miłości. Wypróbowali niemal każde miejsce w domu, jego sypialnię, salon, a nawet, co Belinda wspominała z zawstydzeniem, stajnię, gdy któregoś dnia wrócili z konnej przejażdżki.

Colin absorbował każdą jej myśl, prawie już zapomniała o powodach, dla których zdecydowała się pozostać jego żoną. Odzyskanie rodzinnych posiadłości było jakimś mglistym wspomnieniem.

Machinalnie zerknęła na wyświetlacz telefonu komórkowego i ze zdziwieniem zobaczyła, że ma kilka nieodebranych połączeń od stryja Hugh. Szybko odsłuchiwała wiadomość głosową. Prosił, żeby jak najszybciej przyjechała do Downlands. Nie podobał jej się głos stryja. Dziwny, zduszony. Czyżby był chory? Schowała telefon do torebki z postanowieniem, by natychmiast udać się do niego. Na szczęście Halstead Hall i Downlands leżały blisko siebie.

Podniosła wzrok i ujrzała idącego w jej stronę Colina, z kijem na ramieniu i szerokim uśmiechem. Pochylił się nad nią i pocałował w usta. Jego zapach sprawił, że Belinę znów ogarnęła gorączka niecierpliwości, by jak najszybciej znaleźć się z nim sam na sam.

- Wygraliśmy - rzucił triumfalnie.

Jego oczy promieniały dumą.

- Naprawdę? - drażniła się. - Nie zauważyłam.

- Musimy popracować nad tym, abyś zaczęła doceniać ten szlachetny sport.

- Dlaczego? - spytała z niewinną miną. - Czy nie wystarczy, że doceniam ciebie?

Z uśmiechem pochylił się i wycisnął na jej wargach długi i głęboki pocałunek. Jego smak, zapach poruszały jej zmysły. Belinda z przestrawieniem pomyślała, że zaczęła się od niego uzależniać. Potrzebowała go jak powietrza. Kiedy nie było go w pobliżu, czuła się samotna. Zależało jej na Colinie coraz bardziej, ale była zbyt szczęśliwa, by się tym martwić.

- Jesteśmy w miejscu publicznym - próbowała przywołać go do porządku.

- Zwycięzca bierze wszystko - zaśmiał się. - Wracamy do domu, kochanie?

- Wybacz, ale dostałam tajemniczą wiadomość od stryja i muszę udać się do Downlands dowiedzieć się, o co chodzi. Wrócę najszybciej jak to możliwe.

- W takim razie zaczekam na ciebie w Halstead Hall.

W jego głosie brzmiała słodka obietnica.

Kiedy Belinda zjawiała się w Downlands zastała stryja Hugh w bibliotece, spacerującego nerwowo w tę i z powrotem. Kochała ten dom, bo łączyło się z nim wiele cudownych wspomnień z dzieciństwa. Był dużo mniejszy niż Halstead Hall i nie tak imponujący, ale ceniła sobie spokój tego miejsca, piękny ogród i wnętrza pełne rodzinnych pamiątek. Aż trudno było uwierzyć, że formalnie nie należał już do nich.

- Co się stało? - spytała.

Kiedy stryj Hugh nie odpowiedział od razu, zaczęła się poważnie niepokoić.

- Czy to coś...

- Twój mąż kupił, a następnie sprzedał Elmer Street.

- Co takiego? - Belinda nie wierzyła własnym uszom. - Kupił i sprzedał? Kiedy? Jak?

- Sprzedałem majątek przedsiębiorstwu o nazwie Halbridge Properties. Właśnie odkryłem, że głównym udziałowcem jest ten łajdak, Easterbridge.

- Sprzedałeś kolejną posiadłość Wentworthów?

Belinda poczuła się zdradzona przez wszystkich.

Pozostała żoną Colina tylko po to, by ratować majątek przodków. I w chwili, gdy ona robi wszystko, by go odzyskać, jej stryj sprzedaje kolejną posiadłość?

- Jak mogłeś to zrobić?! - wrzasnęła.

- Belindo, zrozum mnie. Nie masz pojęcia, jak krucho u nas z finansami.

- Oczywiście, że nie wiem, bo nic mi nie mówicie. Dowiaduję się dopiero, kiedy trzeba ratować sytuację.

- A jak wyglądają twoje relacje z Eastrebridge'em? Nie wiedziałaś, że kupił Elmer Street, prawda?

Stryj zadał jej ostateczny cios. Po tym co ostatnio wydarzyło się między nią a Colinem, sądziła, że stali się sobie bliźsi, że być może on... Ale to już nie miało żadnego znaczenia. Wszystko było jasne. Colin przez cały czas ją oszukiwał.

- Granville jest twoim mężem - zaczął nieśmiało stryj. - Zawsze możesz spróbować się z nim jakoś dogadać. Ostatnim razem udało ci się na niego wpłynąć, żeby zwrócił nam posiadłości, więc może i tym razem...

Belinda nagle zrozumiała, o czym mówił stryj. Czy on naprawdę chciał, żeby uwiodła Collina po to, by ten oddał jej rodzinie Elmer Street? Miałyby się sprzedać? Jak mogło mu coś takiego w ogóle przyjść do głowy! O nie! Prędzej sama pozbędzie się wszystkich rodowych posiadłości, niż jeszcze raz pójdzie do łóżka z Colinem.

Bez słowa, w pośpiechu wybiegła z pokoju, ignorując wołanie stryja.

Kiedy Colin zobaczył Belindę, jak wchodzi do jego gabinetu w Halstead Hall, poczuł radosny skurcz w sercu. Wyglądała prześlicznie w jasnej sukience, ale nie mógł się już doczekać, by ją z niej zdjąć. Podczas jej nieobecności zdążył wziąć prysznic i przebrać się w świeże ubranie, ale naprawdę nie miałby nic przeciwko, aby pójść prosto do łóżka. Choć, może i łóżko nie będzie potrzebne...

- Jak mogłeś? - krzyknęła.

- O co ci chodzi? - spytał zaskoczony.

Nie tak wyobrażał sobie powitanie.

- Kupiłeś, a następnie sprzedałeś Elmer Street.

Colin zaklął bezgłośnie. Sam zamierzał jej o tym powiedzieć i wyjaśnić powody, dla których to zrobił, ale nie tak od razu. Teraz musiał improwizować.

- Jak się dowiedziałaś? - spytał, by zyskać na czasie.

- Stryj Hugh mi powiedział - rzuciła krótko, nie patrząc na niego.

Bała się, że mógłby zobaczyć w jej oczach łzy. Nie da mu tej satysfakcji.

- No tak, mogłem się domyślić - mruknął. - Stary, poczciwy stryj Hugh.

- Dowiedział się, że to ty jesteś prawdziwym właścicielem, choć próbowałeś to ukryć.

- Nie wyłudziłem tej posiadłości, sam ją sprzedałem. Choć akurat w tym przypadku przyznaję, że dobrze zrobiłem. Elmer Street było w fatalnym stanie i tylko sprzedaż mogła ją uratować.

- Ale ty ją natychmiast sprzedałeś. Dla zysku. Przyznaj to.

Nic nie odpowiedział.

- Czy tylko to się dla ciebie liczy? A co z uczuciami? Nie mogę uwierzyć, że jesteś tym samym mężczyzną, który bez zastanowienia wziął ze mną ślub w Vegas.

- Skąd wiesz, że małżeństwo z tobą nie było moją największą inwestycją?

- A więc tak na to patrzysz? Zimna kalkulacja zysków i strat, nic więcej? Jesteś wyrachowany i przebiegły.

- Nie powiedziałem, że nie włożyłem w ten związek uczuć - odparł coraz bardziej zmęczony. Nie tak miała wyglądać ta rozmowa. - Posłuchaj, wszystko ci wyjaśnię. Nie rozumiem, dlaczego tak się denerwujesz. Przecież nie byłaś związana emocjonalnie z Elmer Street.

Zadarła wysoko podbródek.

- Była w mojej rodzinie od dwóch pokoleń.

- I właśnie takie myślenie wpędziło Wentworthów w tarapaty finansowe - podsumował.

- Ja też noszę nazwisko Wentworth - oświadczyła wyzywająco, opierając dłonie na biodrach. - Mieliśmy umowę. Obiecałeś, że nie sprzedasz żadnej posiadłości należącej do mojej rodziny.

- Obiecałem, że przepiszę na ciebie dwa majątki. O Elmer Street nie było mowy.

- Nic dziwnego, że tym razem stryj znów dał się oszukać. Był pewien, że dotrzymasz słowa. Słowa arystokraty.

- Nie złamałem go. Gdybyś popatrzyła na to obiektywnie, sama przyznałabyś mi rację.

- Skoro nie miałeś nic do ukrycia, dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Zamierzałem ci powiedzieć. Twój stryj mnie ubiegł.

- Nie wierzę ci. Sprzedałeś Elmer Street i nie poinformowałeś mnie o tym. Nie mogę ci ufać i nie mogę dłużej z tobą być. Nie mamy sobie już nic do powiedzenia.

Po tych słowach rzuciła mu ostatnie, wściekłe spojrzenie, odwróciła się i wyszła.

Belinda patrzyła, jak stryj Hugh marszczy srogo brwi, a jej matka patrzy na nią z wyrzutem.

- Pojawiły się plotki w prasie, że odeszłaś od Colina. I niestety przedstawiają cię w nie najlepszym świetle.

Tak naprawdę Belinda nie dbała o plotki. Mało ją to obchodziło. Czowała się niešťczęśliwa i zawiedziona w swoich uczuciach.

Siedzieli w salonie stryja w Mayfair. Nie, posiadłość przecież należała do jej męża. Jakie to wszystko było trudne i skomplikowane...

Zeszłego dnia wyjechała z Halstead Hall i noc spędziła w londyńskim mieszkaniu Tamary i Sawyera. Przyjaciółka chętnie jej pomogła, tym bardziej że obecnie mieszkała z mężem w Gloucestershire. Belinda przeplakała całą noc. Powoli dotarła do niej brutalna prawda o jej mężu i to bolało ją najbardziej. Już nie mogła dłużej się oszukiwać, że nie kocha męża, że to tylko pożądanie. Pokochała Colina całym sercem. Podziwiała jego inteligencję, poczucie humoru i silne ramiona. Mieli ze sobą tyle wspólnego, świetnie się razem bawili, mogli rozmawiać o wszystkim, oczywiście nie bez znaczenia było też pożądanie, które ich pchało ku sobie. Przy nim poczuła, że żyje, poczuła, jak to jest kochać, tęsknić za kimś, marzyć. Z początku broniła się przed tym uczuciem. Wmawiała sobie, że jest z nim tylko przez wzgląd na interesy jej rodziny, że nie pochlebia jej zainteresowanie Colina. Chciała wierzyć, że potrafi mu się oprzeć, a tymczasem zakochała się. I to do szaleństwa. Dlatego też jego podstępne zachowanie tak bardzo ją zabolało.

- Jestem przekonany, że za te plotki w prasie odpowiada rodzina twojego, pożał się Boże, męża. No cóż, może mają swoich ludzi w mediach, ale my nie poddamy się tak łatwo. Wygramy tę wojnę - gorączkował się stryj Hugh. - Wynajmiemy najlepszych prawników. Odbierzemy to, co nam się należy. Kiedy już majątki wrócą pod moje skrzydła, nie pozwolę, by Granville'owie znów położyli na nich swoje łapy.

- Nie.

Stryj i matka popatrzyli na nią zaskoczeni. Ona sama też była zdumiona swoją odwagą.

- Nie? - Stryj Hugh uniósł wysoko swoje krzaczaste brwi. - Co masz na myśli? Jak to nie?

Belinda głęboko wciągnęła powietrze. Już nigdy więcej nie pozwoli sobą manipulować.

- Chodzi mi o to, że nie oddam nikomu kontroli nad majątkami.

Stryj Hugh odprężył się.

- Ach, oczywiście, moje dziecko. Właśnie do tego dążymy. Potrzebujemy tylko pomocy notariusza.

Belinda uświadomiła sobie, że stryj ani razu nie wziął pod uwagę jej uczuć. Było dla niego oczywiste, że ona musi się poświęcić, by ratować finanse rodziny. Tak było w przypadku jej niedoszłego małżeństwa z Todem. Namawiali ją do tego, widząc tu szansę dla siebie. A potem nalegali, by spróbowała dogadać się z Colinem. Zgodziła się. Dzięki niej stryj mógł odzyskać oba majątki, które stracił przecież z własnej winy. Nigdy nie był odpowiednią osobą, by zarządzać rodzinnymi włościami. Z pewnością się starał, ale popełnił liczne błędy, za które ona miała teraz płacić. Colin właściwie wyświadczył jej rodzinie przysługę. Gdyby nie on, rodowe majątki już byłyby w obcych rękach. Kupił je, dał pieniądze na ich renowację, pozwolił, by stryj nadal w nich przebywał i zgodził się przepisać je na nią. Jaki mógł mieć w tym interes? Żaden. Chciał tylko, by z nim była. Oskarżała Colina o wyrachowanie, a tymczasem on zrobił dla niej więcej niż jej własna rodzina.

- Oczywiście, moje dziecko, kiedy już po rozwodzie z tym draniem zostaniesz jedyną właścicielką tych posiadłości, z przyjemnością ci pomogę w zarządzaniu i zajmę się ich nadzorem. Chyba że zrobi to Tod, gdy już za niego wyjdiesz.

Stryj najwidoczniej nic nie zrozumiał z tego, co mu powiedziała. Nawet nie spytał, czy chce wyjść za Toda. Kochała swoją rodzinę, ale dopiero teraz zobaczyła, że jej najbliżsi są pełni wad. Być może mają ich więcej niż oskarżani o całe zło tego świata Granville'owie.

- Nie, stryju - powiedziała stanowczo. - Nigdy nie wyjdę za Toda. Co więcej, jeśli po dwóch latach rozwiodę się z Colinem i w końcu dostanę na własność te dwie posiadłości, to tylko ja będę nimi zarządzać. Tym razem zrobimy to po mojemu.

- Belindo, to jakiś absurd - zaprotestowała matka, podnosząc się z sofy. - Co się stało z tą dziewczyną? - zwróciła się do wuja. - Zawsze była taką posłuszną córką. Oto są skutki przebywania z ludźmi pokroju Colina Granville'a. Miał na nią zły wpływ.

- Wcale nie - odparła Belinda, szykując się do wyjścia. Myślę, że dawno już nie miałam lepszego pomysłu.

Wychodząc z salonu, poczuła ulgę.

Wreszcie przestała być pionkiem w grze swojej rodziny. Czowała się wolna. Tylko co zrobić z Colinem? Źle się wobec niego zachowała. Oczywiście powinien był jej powiedzieć o sprzedaży Elmer Street, ale rozumiała jego motywy. Jeśli będzie chciała do niego wrócić, czy nie pomyśli, że robi to z wyrachowania?

I czy w ogóle będzie chciał, żeby do niego wróciła?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Mamo, coś ty zrobiła?

- Colinie, nie rób takiej miny. Przecież wiesz, że teraz media to czwarta władza.

- Możesz wierzyć lub nie - podjął Colin ostrym tonem - ale jestem jednym z tych, którzy sądzą, że istnieje jeszcze inna rzeczywistość poza tą kreowaną przez media.

- Nonsens. Co za nieżyciowa postawa.

Siedzieli przy stole z widokiem na ogród w Halstead Hall. Kiedyś ten pokój był salonem muzycznym, ale od wielu lat pełnił funkcję jadalni. Przed lunchem dowiedział się od służby, że matka przyjedzie do rezydencji, aby razem z nim zjeść posiłek. Jak zawsze pojawiła się odziana w drogie jedwabie, z nienagannym makijażem i elegancko ułożonymi włosami. Uwagę zwracał piękny naszyjnik z pereł zdobiący jej dekolt.

- Nie rozumiem, dlaczego się złościś - powiedziała, odstawivszy filiżankę z herbatą na spodek. - Czy powiedziałam nieprawdę? Belinda porzuciła cię, gdy dowiedziała się, że kupiłeś zadłużoną posiadłość jej rodziny. Niewdzięcznica! Przecież zapłaciłeś za Elmer Street więcej niż było warte.

- Belinda nie patrzy na to w ten sposób.

Odkąd dwa dni temu opuściła Halstead Hall, myślał tylko o niej. Powinien był przewidzieć, że gdy dowie się o kupnie i sprzedaży Elmer Street, odbierze to jako zdradę, nielojalność. Żałował, że mógł sam jej o tym powiedzieć, a nie zrobił tego. Zarczyła mu, że liczą się dla niego tylko pieniądze, że nie dba o uczucia, a przecież to nieprawda. Belinda, będąca dla niego uosobieniem dziewiętnastowiecznej romantyczki, nie uznawała półśrodków. Poczula się zdradzona i oszukana.

- Szepnęłam słówko dziennikarzom w dobrej wierze. Musimy mieć media i opinię publiczną po swojej stronie. Robię to dla ciebie, synu. Myślę o twojej reputacji.

- Nie musisz ratować mojej reputacji - zachnął się.

To on sam potrzebował ratunku, a nie jego reputacja. Potrzebował Belindy. Jej ciepła, uśmiechu, ramion oplatających jego szyję. Kochał ją przecież. Dlaczego nigdy jej tego nie powiedział? Bał się, że go odrzuci? Był wściekle zazdrosny o Toda. Nie mógł znieść myśli, że chciała zostać żoną innego. W łóżku czuł jej wzajemność, odpowiadała

na jego požądanie z równą siłą, ale wciąż nie był pewien, czy może za tym kryć się coś więcej. Jakieś prawdziwe uczucie. Przecież ona też nigdy nie powiedziała mu, że go kocha.

- Colinie, dlaczego uparłeś się na Belinę? Mogłeś przebierać pośród najpiękniejszych dziewcząt w hrabstwie i wybrać sobie odpowiednią żonę.

- Dla mnie nie istnieje żadna inna, tylko Belinda - odparł twardo. - Nie mogę uwierzyć, że tak łatwo się od niej odwróciłaś. Reszta rodziny ją zaakceptowała, a nawet polubiła.

- A ja nie mogę uwierzyć, że tak szybko zapomniałeś, że to jedna z Wentworthów.

- Już dawno powinniśmy byli zakopać topór wojenny. Te wzajemne animozje trwają dłużej niż wojna stuletnia. To śmieszne!

Pani Granville wzniosła oczy do nieba i prychnęła coś niezrozumiale.

- Mamo, pogódź się wreszcie z myślą, że Belinda jest markizą Easterbridge. I jeśli zechce mi wybaczyć, pozostanie nią na zawsze.

- Jak mnie znalazłeś?

To były pierwsze słowa, jakie usłyszał Colin, gdy Belinda otworzyła drzwi apartamentu.

- Mam swoich szpiegów - zażartował.

- Sawyer - odgadła natychmiast.

Colin pokiwał głową.

- W końcu to jego mieszkanie.

- Nie cierpię tego, że jesteście wobec siebie zawsze tacy niezachwianie lojalni - wyrzuciła z siebie. - Często kosztem innych...

- Ale chyba najbardziej nie cierpisz mnie, prawda?

Nie odpowiedziała. Oczywiście, że czuła się zraniona, ale jak mogła go nie cierpieć?

- Mogę wejść? - spytał, patrząc na nią poważnie.

- A mam wybór?

- Nie masz, bo Sawyer również i mnie pozwolił się tu zatrzymać.

- Och, jak miło z jego strony - zadrwiła. - Jestem pewna, że twoja matka albo siostra przenocowałyby cię na kanapie, gdybyś je o to poprosił.

- Ale moje miejsce jest tutaj, przy tobie - odparł miękko, ciepłym głosem. - Będziemy o tym dyskutować w drzwiach?

Wpuściła go do środka i zaprowadziła do salonu. Zaledwie pół godziny wcześniej zdążyła wziąć prysznic i przebrać się w wygodną, ale twarzową sukienkę. Colin, jak zawsze prezentował się nienagannie. Wysoki, przystojny i onieśmielająco męski. Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, jakby zastanawiał się nad doborem słów, po czym oznajmił:

- Posiadłość Elmer Street nie została sprzedana.

Zamrugnęła oczami. Nie tego się spodziewała.

Była przekonana, że przyszedł, aby negocjować warunki ich małżeńskiej umowy.

- Sądziłam, że sprzedaż została już sfinalizowana - powiedziała, nieco zbita z tropu.

- Został sporządzony kontrakt, ale zdecydowałem, że go nie podpiszę.

- Ach tak. - Nie wiedziała, co powiedzieć. - Dlaczego zmieniłeś zdanie?

Uchwycił jej wzrok i popatrzył prosto w oczy.

- Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli tę posiadłość sprzedam tobie. Symbolicznie za jednego funta. Masz może drobne w portmonetce?

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Czy to jest jakaś próba zmiany naszej małżeńskiej umowy?

- Można tak to nazwać - odparł z uśmiechem i podszedł krok bliżej.

W jego oczach nie widziała triumfu, twarz Colina nie wyrażała typowej dla niego pewności siebie.

- Jakie są twoje warunki? - spytała, z trudem przełykając ślinę.

- Nie mam żadnych. - Ujął jej twarz w dłonie. - Tak naprawdę postanowiłem już dzisiaj przepisać na ciebie wszystkie posiadłości Wentworthów za symboliczną kwotę jednego funta. Nie będę czekał dwóch lat.

- Taki wytrawny gracz i nie ma żadnego planu? Nie stawia warunków?

- Tylko jeden. Wróć do mnie, oczywiście, jeśli mnie jeszcze chcesz.

Miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję, ale opanowała się i przybrała obojętną minę.

- Poproś mnie o to jak należy, mój markizie.

Colin przykląkł na jedno kolano i chwycił jej dłoń.

- Belindo, czy zechcesz uczynić mi ten honor i pozostać moją żoną już na zawsze?

Zamrugła powiekami, chcąc odpędzić zdradzieckie łzy wzruszenia.

- Tak już lepiej - mruknęła.

- Kocham cię, Belindo, kocham cię do szaleństwa.

Czy ona śni? Marzyła o tych słowach, marzyła o nim. Czyżby marzenia miały się spełnić?

- Ja też cię kocham, więc chyba nie mam innego wyboru, jak pozostać twoją żoną na zawsze.

Nie wiadomo, które z nich wykonało pierwszy ruch, ale faktem było, że już w następnej sekundzie całowali się zachłannie i namiętnie. Dopiero po dłuższej chwili wrócili do rozmowy.

- Wiesz, że nasze rodziny będą zbulwersowane, gdy dowiedzą się, że postanowiliśmy już na zawsze zostać razem? - spytała Belinda.

- Nie obchodzi mnie to. Pewnie będą próbowali nas rozdzielić, ale poradzimy sobie.

- To okropne, że między naszymi rodzinami jest taka wrogość - zasepiła się.

- Chodź do mnie, połączymy zwaśnione rody, co? Kochajmy się, a nie walczmy ze sobą. No, chodź do mnie. Pragnę cię tu i teraz...

- Ale to jest mieszkanie Sawyera - upomniała go ze śmiechem.

- Myślę, że się nie pogniewa. Zrozumie, że nic innego nie można było zrobić w taki pochmurny, deszczowy dzień.

- Colin...

Pozwoliła pociągnąć się na sofę przy kominku i nie zgłaszała już więcej żadnych wątpliwości.

Kilka godzin później Belinda leżała przytulona do męża i obserwowała krople deszczu spływające melancholijnie po szybie.

- Z początku chciałem się na tobie odegrać - usłyszała zmysłowy głos Colina i poczuła jego ciepły oddech na policzku. - Byłem na ciebie wściekły.

- Dlatego, że po tamtej nocy w Las Vegas od ciebie odeszłam - stwierdziła bezsprzeczny fakt.

- Nie odeszłaś. Uciekłaś.

- Co ty opowiadasz? Miałabym uciekać na kilkunastocentymetrowych szpilkach i w krótkiej czerwonej sukience? - zażartowała, podpierając głowę na łokciu.

- Pamiętam, że kiedy cię w niej zobaczyłem, wiedziałem, że będziesz moja.

Posłała mu długie, pełne czułości spojrzenie.

- I nie pomyliłeś się.

Zamilkła na moment.

- O czym myślisz? - spytał, pieszcząc jej ramię.

- O tym, jak dobrze bawiliśmy się wtedy w Vegas. Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałam na przyjęciu, miałam nadzieję, że się na siebie natkniemy.

- Chwila szczerości? Dobrze, teraz moja kolej. Wiedziałem, że zatrzymasz się w hotelu Bellagio i dlatego ja też wybrałem ten hotel.

W pewnym momencie uniosła się nieco i spojrzała na niego z góry.

- Dowiedziałeś się wreszcie, jak to się stało, że nasze małżeństwo nie zostało anulowane?

Colin westchnął i założył ręce za głowę.

- Coś mi się zdaje, że będę musiał wypowiadać się do końca. Niech będzie. Nie upoważniłem swojego prawnika, aby wypełnił za mnie dokumenty.

- Wiedziałam! - zawołała ze śmiechem. Być może powinna być zła, a czuła tylko radość. - Zawsze cię o to podejrzewałam.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałem cię odzyskać. Wtedy w Las Vegas zupełnie straciłem dla ciebie głowę. Byłem gotów na wszystko. Jak myślisz, dlaczego kupiłem obrazy impresjonistów francuskich?

- Ze względu na mnie?

Colin kiwnął głową.

- Och, jakie to słodkie i romantyczne - szepnęła, całując go w usta. - Przepraszam cię, że wtedy w Las Vegas tak się zachowałam. Kiedy obudziłam się rano, przestraszyłam się swoich uczuć. Nie wiedziałam, jak mam sobie poradzić z tą sytuacją. Bałam się reakcji swojej rodziny. Ty byłeś gotów wtedy podjąć ryzyko, a ja nie. Dałeś mi więcej, niż oczekiwałam, więcej, niż mogłam wtedy udźwignąć.

Pocałował ją, odgarniając kosmyk włosów z jej czoła.

- I tak cię podziwiam. Odważyłaś się i wyszłaś za mnie. Myślę, że jako dobra i posłuszna córka potrzebowałaś choć raz w życiu skoczyć na głęboką wodę.

Roześmiała się głośno.

- Jestem pewna, że teraz dopilnujesz, abym robiła to częściej.

Objęli się mocno i wsłuchiwali się przez dłuższą chwilę w swoje oddechy.

- Jestem markizem Easterbridge, który stracił serce dla panny Wentworth.

- Większość mojej rodziny powiedziałyby raczej, że nigdy go nie miałaś.

- Tylko dlatego, że mi je ukradłaś i zbiegłaś z nim do Nowego Jorku.

- Stryj Hugh uznałby, że z nas dwojga to ty jesteś złodziejem. Zabrałeś mu dom w Londynie, wiejską posiadłość w Berkshire...

- Tylko po to, bym mógł odzyskać ciebie.

- Skoro więc należę do ciebie, myślę, że powinnam zmienić nazwisko na Granville.

- Oczywiście, jeśli chcesz. Mnie jest wszystko jedno, czy będziesz panią Wentworth, czy panią Granville - powiedział, nie przestając gładzić jej ramienia. - Jesteś panią mojego serca i to jest najważniejsze.

Przytuliła się do niego i cmoknęła go w czubek nosa.

- Chciałabyś odnowić naszą przysięgę? - zaproponował.

- Ale moje śluby kończą się zawsze katastrofą, przecież wiesz.

- Tym razem będzie inaczej - uspokoił ją. - Zaslugujemy na prawdziwą uroczystość.

Belinda uśmiechnęła się.

- W takim razie jeszcze raz wyjdę za ciebie.

- Myślę, że kościółek w miejscowej parafii będzie najodpowiedniejszy. Ludzie kochają takie uroczystości.

- Tym razem nie założę czerwonej sukni.

- A ja obiecuję, że nie wystąpię w białym kostiumie Elvisa. I jeszcze jedno. Postaram się zrobić wszystko, by pogodzić wreszcie nasze rodziny.

Uśmiechnęła się do niego czule, z oddaniem.

- Pomoże w tym nasza miłość. Kocham cię i to się nigdy nie zmieni.

T L R

EPILOG

Były Święta Bożego Narodzenia i mroźna zima wzięła w posiadanie Berkshire. Belinda nie martwiła się jednak pogodą, otoczona ludźmi, których kochała i którzy ją kochali. Czyż można chcieć więcej?

Objęła wzrokiem scenę w salonie i rozchyliła wargi w promiennym uśmiechu. W jednym z rogów pokoju stała olbrzymia choinka, ozdobiona ręcznie malowanymi bombkami, na jej szczycie jasno świeciła gwiazda, a pod nią leżał stos prezentów.

Colin rozmawiał z Hawkiem, ale już w następnej chwili poszukał wzrokiem Belindy. Ich oczy spotkały się w niemym wyznaniu miłości. Jego spojrzenie zdradzało, jak bardzo ją kocha i że marzy o tym, by wreszcie zostali tylko we dwoje. Mrugnął porozumiewawczo, a Belinda odpowiedziała lekkim skinieniem głowy. Ona też się nie mogła doczekać, by wtulić się w jego ramiona.

Była w szóstym miesiącu ciąży z bliźniakami - chłopcem i dziewczynką. Ze wzruszeniem pomyślała, że za rok o tej porze ona i Colin będą już rodzicami, podobnie jak ich najbliżsi przyjaciele. Nie sądziła, że można być aż tak szczęśliwą.

Na podłodze, koło pianina, Pia bawiła się ze swoim synkiem Williamem, siedmioletnim hrabią Eastchester. Taki tytuł dostał w spadku po swoim ojcu, księciu Hawkshire. Pia śmiała się radośnie, gdy William, rzucając piłkę, próbował zwrócić na siebie uwagę synka Tamary, piętnastomiesięcznego Elliotta Langsforda, wicehrabiego Averil.

Koło Tamary stał jej mąż Sawyer. Trzymał w dłoni butelkę z sokiem dla synka i obserwował z rozbawieniem całą scenę.

Za rok do dwójki tych dzieci dołączą moje, pomyślała Belinda. Wszystko ułożyło się lepiej, niż to sobie wymarzyła.

Mieli piękny ślub w miejscowym kościółku, a przyjęcie weselne w Halstead Hall. Belinda ubrana była w stylową białą suknię i wyglądała tak pięknie, że Colin przez całą uroczystość nie był w stanie nasycić się jej urodą.

Nic nie zakłóciło tego radosnego wydarzenia, na którym pojawili się wszyscy z rodziny Wentworthów i Granville'ów. Zgodnie z tradycją zajęli oddzielne ławki po dwóch

stronach głównej nawy i to z pewnością pomogło utrzymać zdrowy dystans. Rodziny, rzecz jasna, z początku bardzo niechętnie odnosiły się do ich małżeństwa, ale powoli wszyscy godzili się z sytuacją. A od kiedy Belinda zaszła w ciążę i przyjęła nazwisko Granville, nawet matka Colina zaczęła życzliwie na nią spoglądać. Przy każdej okazji nie zapomniała jednak podkreślać, że dzieci będą czystej krwi Granville'ami.

- Szczęśliwa? - spytał Colin, kładąc dłonie na jej ramionach.

Po chwili usiadł obok niej i pieszczotliwym gestem pogładził jej wystający brzuch.

- Oczywiście - odpowiedziała i spojrzała mu głęboko w oczy. - Tak się cieszę, że nasi przyjaciele są z nami.

- Ciekawe, jak poradzimy sobie w drugi dzień Bożego Narodzenia, kiedy przy jednym stole spotkają się nasze rodziny?

- Będą musieli jakoś ze sobą wytrzymać. Jak do tej pory nieźle im to wychodzi - odparła, nie tracąc poczucia humoru.

- Jeśli stryj Hugh znowu pokona moją matkę w szachy, może dojść do rozlewu krwi.

Belinda parsknęła perlistym śmiechem.

- Nie dopuścimy do tego - zapewniła.

Stryj Hugh nadal mieszkał w Mayfair oraz często bywał w ziemskiej posiadłości w Berkshire, ale obie rezydencje miały z czasem przejść na dzieci Belindy.

- Życie jest cudowne - szepnęła, zamykając oczy. - Jestem taka szczęśliwa.

- To dlatego, że jesteśmy razem - usłyszała szept Colina, tuż przy uchu.

Zalała ją fala miłości.

